Nr. 137. Lwów. — Piątek dnia 15 czerwca. Rok 1888.

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty:

We Lwowie bez dostawy:	Na prowincji z przesyłką pocztową
Miesięcznie zł. 75 ct.	Miesięcznie 1 zł
Kwartalnie 2 „ 25 „	Kwartalnie 3 „
Półrocznie 4 „ 50 „	Półrocznie 6 „
Rocznie 9 „ — „	Rocznie 12 „

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy

Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników, ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Prenumeratę tak miejscową, jak i zamiejscową wnosić należy z góry, kwartalnie, półrocznie lub rocznie. Inne[illegible] się nie przyjmuje.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Z zamiejscową prenumeratą zgłaszać się należy do Administracji „PRZEGLĄDU“ we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej, L. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie jest niedopuszczalna.

Upraszą się prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach raczą dopłacać po 5 ct. do każdego listu.

Miejscową prenum. we Lwowie przyjmują

Trafika J. Ważnego, przy ulicy Czarnieckiego liczba 1. — Trafika przy ulicy Karola Ludwika liczba 5. — Trafika przy ul. Ossolińskich (obok Zakładu Dzieci). — Biuro Dzienników, przy ul. Karola Ludwika liczba 9.

Rękopismów Redakcja nie zwraca.

Dziś: Wita i Modesta M.
Jutro: Franciszka Reg.

Adres Redakcji i Administracji Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 3 m. 51·0
Zachód „ „ 8 „ 9·0

Długość dnia g. 16 m. 18·0
Przybyło dnia 0 0 min.

Przegląd polityczny.

Wracają znowu dni kwietniowe: zbolała postać cesarza Fryderyka, przebieg jego choroby, ewentualny jej koniec, biuletyny, sprzeczki lekarzy i niezliczone plotki na ten temat — oto orszak czynników, występujących znów na polityczną arenę, z której pierzcha wszystko inne. Wszędzie wstrzymano rozpęd agitacyj przygotowujących wypadki, surdynę nałożono na struny półurzędowej prasy, na giełdach nagle utknął ruch zwyżkowy — zapanowała stagnacja, objaw niepewności. Nikt do niczego nie chce się angażować, każdy zamyka się w nieczynnem oczekiwaniu, pragnąc na wszelki wypadek mieć wolne ręce. „Wielkie wypadki już zdaleka cień swój rzucają“ — mówi poeta niemiecki. Owóż Europa zaczyna pogrążać się w cieniu czegoś wielkiego, co niezawodnie nastąpi, jeśli nad cesarskim zamkiem w Friedrichskronie pojawi się żałobna chorągiew.

Co nastąpi? — tego oczywiście nikt nie wie, ale każdy rozumie, że ze zmianą na niemieckim tronie nowy duch wstąpi we wszystkie stojące na porządku dziennym sprawy, które teraz daremnie domagają się załatwienia. Z wytężeniem wszystkich sił dyplomacja hamuje bieg tych kwestyj, bo, jak słusznie powiedział niedawno *Nord*, szaleństwem byłoby rozpoczynać jakąkolwiek akcję, kiedy ona, choćby najlepiej była obrachowana, może być pokrzyżowana fatalnie przez zgon jednego człowieka. O życie cesarza Fryderyka opierają się nadzieje jednych, a ciężkie troski innych. Pod wpływem osobistych sympatyj i antypatyj przyszłego cesarza, Wilhelma II, znanego z krewkości i krzyżackich uczuć, zachwiać się może liga środkowo europejska, ta nader misterna, ale też i nader chwiejna budowla, na której spoczywa cały teraźniejszy stan rzeczy. A skoro tylko drgnie i popęka ta budowla, wnet zerwie się orkan wypadków, prześcigających ogromem swym wszelkie przewidywania. Właśnie w oczekiwaniu tej katastrofy i tego kataklizmu nigdzie nie ustają nadzwyczajne przygotowania militarne i będą one ciągle się potęgowały, ciągle rosły aż do chwili, w której wybije godzina czynu.

Jest więc pewna niekorzyść w tem, że ustalenie się stosunków tronowych w Niemczech tak się przewleka. Gdyby Fryderyk był człowiekiem zdrowym, rokującym długie życie, to panowanie monarchy tak szlachetnie i umiarkowanie usposobionego, nad narodem odgrywającym tak wybitną rolę w Europie, oddziałałoby dobroczynnie na wszystkie sprawy naszej części świata. Ale chory, wciąż umierający Fryderyk, jest nieszczęściem Europy.

Paroksyzm tego nieszczęścia, które już na setki miljonów można obliczyć, przeżyliśmy w kwietniu. Teraz, jak się zdaje, wypadnie nam przeżyć drugi taki paroksyzm. Pełną garścią sieją trwogę berlińskie dzienniki barwy junkierskiej. Jest przypuszczenie, że one umyślnie to robią dla dokuczenia monarsze, który nie chce się rzucić w objęcia junkrów. Istotnie być może, że one przesadzają, że za czarno malują stan cesarza, ale przecież sam fakt pogorszenia się choroby wątpliwości nie ulega, a tego już dość do wywołania stagnacji. Gadzinówki, robiąc smutną minę, donoszą, że wedle zdania lekarzy już tylko na jaki miesiąc można liczyć życie cesarza. Trzyma się on na pozór dobrze, wstaje codzień, spaceruje, jeździ po parku, siedzi na balkonie, pracuje przy biurku — ale to wszystko łudzić nie powinno. Już podobno zdecydowano, że naturalny sposób przyjmowania pokarmów powinien być na zawsze zaniechany przez cesarza; odtąd będą mu do żołądka wprowadzali pokarmy przez rurkę, a przez inną rurkę będą mu do płuc pompowali powietrze. Co za życie! Już sama świadomość takiego położenia musi zabójczo działać na pacjenta. To też jeden z ostatnich telegramów donosi krótko: „cesarz jest zdecydowany na wszystko“.

Skoro on już jest „zdecydowany“, to znaczy, skoro sam się dysponował, to czemuż junkrowie nie mogą już teraz eskontować tego, co się stanie? Że przez to boleśnie dotkną męczennika w koronie, cóż to ich obchodzi? Oni przez tyle lat pokazywali światu, że obce są im ludzkie uczucia. Więc cóż robią? Jawnie agitują za adresem do Puttkamera, któremu chcą wyrazić współczucie, sympatję i wdzięczność za niewzruszoną postawę wobec cesarza! Gdzież jest ów szacunek dla monarchicznej zasady, o którym oni zawsze tyle mówili?

Wówczas, gdy wiedźmy-gadzinówki odprawiają swe harce na Łysej Górze znikczemnionego junkierstwa, chory cesarz w otoczeniu lekarzy, którzy go nie odstępują ani na chwilę, i rodziny, spędza może ostatnie dni swoje w febrze i bólach, które objęły już nietylko krtań, ale i przewód pokarmowy.

W imię bulanżerstwa już krew się polała. Stało się to w Angoulemie, stołecznem mieście departamentu Charante. Jak wiadomo, postawił tam swoję kandydaturę do parlamentu Deroulede, dziś najgorliwszy bulanżysta. Kontrkandydatem jego jest republikanin Weillers. Owóż we wtorek zwołano w Angoulemie walne zebranie wyborców; przybyło około dwóch tysięcy osób, ale do narad przyjść nie mogło, bo się od razu wszczął piekielny hałas, a potem bójka na parasole i laski. Komisarz policji chciał przywrócić porządek, a gdy nie mógł słowami, zawołał policiantów. Wtedy ktoś krzyknął: „precz z policją!“ W oka mgnieniu tłum rzucił się na policjantów, którym rychło przybyła silna pomoc. Po długiem borykaniu się w sali, wypędzono tłum na ulicę i tu się dopiero zaczęły prawdziwe awantury. Jedni krzyczeli „Niech żyje republika“ — inni: „Niech żyje Boulanger!“ Niebawem z przedmieść przybyli robotnicy; ludność podzieliła się na dwa obozy i zaczęła się bitwa, w której zwyciężyli bulanżyści. Starcia odbywały się na wszystkich ulicach, całe miasto zterryzowali zwolennicy jenerała, a używali oni podobno sztyletów. Spokojni mieszczanie zabarykadowali się w domach, sklepy zamknięto, policja się schowała, wojska nie chciano użyć. Zwycięzcy — podobno najgorszego gatunku hołota — chodzili tłumnie po ulicach, wyszydzali rannych, maczali płachty we krwi i potem zatykali je na drągi, niby jakieś chorągwie. Krzyczano: „niech żyje Boulanger, niech żyje Deroulede, precz z rządem!“

Przed stu laty zaczęła się od podobnych scen wielka rewolucja, której pokłony biją Carnot, Floquet i inni teraźniejsi „mężowie“ republiki. Widocznie nie mają oczu, żeby widzieć i uszu, żeby słyszeć. Doktryna zabiła w nich rozum. W obec scen w Angoulemie nie można śpiewać *requiem* karjerze Boulangera. Jego fiasco w parlamencie nic mu widocznie nie zaszkodziło w opinji ludu na prowincji.

Powstała pogłoska, że w skutek mowy p. Tiszy o wystawie francuzkiej, austrjacki jeneralny konsul w Paryżu, baron Gustaw Rothschild złożył swój urząd. Jest to nieprawda.

W amerykańskich Stanach Zjednoczonych wkrótce odbędzie się wybór nowego prezydenta, bo mister Grover Cleveland kończy swoje czterolecie. Był on kandydatem stronnictwa demokratycznego, które po długich latach panowania obozu republikańskiego, zdołało w r. 1884 przeforsować swego kandydata. Wówczas Cleveland we własnem stronnictwie miał wielu przeciwników, dziś zaś wszyscy demokraci stanęli przy nim jak jeden mąż, chcąc go wybrać na drugie czterolecie. Konwent ich (walny zjazd przedstawicieli demokratycznych ze wszystkich Stanów), odbyty 6 b. m. w St. Louis, postawił Clevelanda jako jedynego kandydata. Tymczasem obóz republikański popadł w rozterki, każdy Stan wysuwa innego kandydata. W skutek tego wybór Clevelanda jest prawie pewny.

Korespondencje.

Odesa 8 czerwca.

O miesiąc wcześniej, niż u was we Lwowie, rozpoczyna się tutejszy sezon ogórkowy.

Od rana słońce rozpala powierzchnię granitowych bruków, trzydziestostopniowa temperatura rozgrzewa mury, a podmuchy ciepłego wiatru z morza, wznoszą tumany ostrego pyłu i tamują oddech przechodnia.

Pomimo wszelkich środków zaradczych nie można znaleźć ochrony przed upałem.

Mieszkańcy nie wyjmują podwójnych zimowych okien, lecz trzymają je szczelnie zamknięte; rolety, markizy, okiennice i drewniane żaluzje pokrywają mrokiem pokoje, lecz gdy nadchodzi godzina trzecia, cienkie ściany, zbudowane z żółtego piaskowca, grzeją nie gorzej od napalonego pieca.

Życie w mieście rozpoczyna się po godzinie 6-tej wieczorem i koncentruje się na bulwarach, gdzie zbierają się ci mieszkańcy Odesy, którzy nie są w możności zamieszkiwać nad brzegami morza lub na limanach. Kto żyw, ciągnie na bulwary napawać się widokiem portu i zatoki, orzeźwiać płuca wieczornym powiewem morskiego wiatru, o zmroku tłum wzrasta, w kawiarniach trudno znaleźć swobodne krzesło, a z uderzeniem dźwięków orkiestry publiczność zbija się w zwartą masę.

W porcie, po wiosennej pauzie, następującej rychło po otwarciu żeglugi i podjęciu kotwicy przez zimujące okręta i statki, ruch się ponownie ożywił.

Parowce pod flagą angielską, jakoteż flotyla austrjackiego Lloyd'a, zabierają potężne ładunki pszenicy, a gdy pozwala miejsce na pokładzie, wysyłane są do Anglji znaczne partje besarabskich i ukraińskich wołów.

Z innych flag często widać włoską, grecką, najrzadziej zaś francuską, choć komunikacja pomiędzy portami Odesy i Marsylji jest zaprowadzoną stale. Wspaniały parowiec, krążący co dwa tygodnie pomiędzy temi dwoma punktami, ochrzczono imieniem „Niemen“, a za każdym razem, wychodząc z Odesy, zabiera na swym pokładzie olbrzymią ilość klatek, napełnionych ptastwem domowem, które czeka rożen na ziemi francuskiej.

Parowce rosyjskie, nawiasem mówiąc, wszystkie nowe, wygodnie zbudowane, dotąd przeważnie używane są dla utrzymania komunikacji w portach: morza Czarnego, Azowskiego, naddunajskich, a wreszcie pośredniczą w ruchu przewozowym do Egiptu i Azji północno-wschodniej, na Sachalin, do Chin i Japonji.

Od kilku tygodni tutejsze sfery kupieckie, żywo interesujące się sprawami czarnomorskiej żeglugi, zaniepokojone zostały wieścią o przybywającem współzawodnictwie dla parowców rosyjskich stowarzyszeń i dla prywatnych właścicieli.

Oto podobno do władz wyższych w Petersburgu przedstawiono do zatwierdzenia statut nowego towarzystwa żeglugi parowej na morzu Czarnem i Azowskiem. Towarzystwo to fundują kapitały angielskie. Dyrektorami owego towarzystwa, kapitanami statków, członkami załogi będą rosyjscy poddani, jakoteż parowce pływać będą pod flagą kupiecką rosyjską i ochrzczone będą rosyjskiemi imionami, faktycznie zaś całe to olbrzymie przedsiębiorstwo będzie własnością kapitalistów angielskich i kierownictwo interesów będzie w ich rękach spoczywało.

Jeżeli nowe towarzystwo uzyska koncesję, to dotychczas funkcjonujące rosyjskie towarzystwa żeglugi poniosą cios śmiertelny, a to z przyczyn następujących: Taniość kapitału angielskiego, z chęcią lokowanego na 4 lub 3 proc., przedstawia olbrzymie środki nowemu towarzystwu. Fabrykanci angielscy w zamian za akcje dostarczą chętnie najlepszych parowców, o wiele przechodzących rozmiarami i zaletami budowy dotychczas używane statki przez rosyjskie towarzystwa, w skutku czego fracht na statkach angielskiego towarzystwa obniży się do minimum i zwalczy wszelką konkurencję. Aczkolwiek na razie okaże się to dla sfer kupieckich nader dogodnem i dziś są już zwolennicy angielskiej konkurencji, którzy z upragnieniem jej rozpoczęcia wyczekują, to jednak ludzie więcej przewidujący czynią słuszną uwagę, iż wkrótce nowe towarzystwo przy swych olbrzymich środkach zmonopolizuje żeglugę na morzu Czarnem i Azowskiem, a wówczas będzie samowładnie panowało i podwyższało taryfy.

Dzienniki tutejsze wyraziły jeszcze polityczną obawę. Wskazują one, że w naprężonej sytuacji politycznej z Anglją, państwo nie będzie miało do swego rozporządzenia własnej kupieckiej flotylli, a angielskie statki z rosyjskiem zbożem łatwo znaleźć się będą mogły na Malcie. Za przykład podobnej zgubnej konkurencji stawiają Portugalję, gdzie, w skutku liberalnej ustawy o wolnej żegludze pod flagą narodową, 97 proc. przewozu uskutecznia się na statkach angielskich, a wreszcie na Turcję, gdzie bez subsydjum rządowego dotąd nie kursuje żaden statek własny.

Też dzienniki powołują się na ustawę Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki, jako na wzór skutecznej obrony interesów własnej żeglugi, a w której powiedziane jest, iż żaden statek, będący własnością cudzoziemca lub zbudowany nie w krajowych fabrykach, pływać pod flagą narodową nie może.

Otóż ta kwestja znajduje się obecnie na porządku dziennym w naszym portowym grodzie, gdzie mieszkańcy od dziecka do starca wrażliwi są na sprawy handlu i żeglugi, a pociechą w dzisiejszym sezonie ogórkowym służą radośne wieści o świetnych na wybrzeżach morza Czarnego urodzajach, zapowiadających wielką na jesień robotę.

Paryż 5 czerwca. *)

..... Zwykłe posiedzenia parlamentu francuskiego w pałacu Burbonów nie przedstawiają teraz dla publiczności wielkiego interesu. Zresztą cały legjon mrówczych pracowników stenografów urzędowych i dziennikarzy stara się o to, ażeby żaden fakcik choćby najdrobniejszy, żadne dowcipne słówko rzucone w Izbie nie było stracone dla ogółu. Wczoraj jednak mieliśmy dzień „wielki“, — „*une grande journée*“ wielkie, nadzwyczajne przedstawienie. Publiczność zebrała się tłumnie, a loże, we wszystkich trzech swoich oddziałach były wprost nabite.

Wielkie to przedstawienie zapowiedziała urzędowa notatka ajencji Havas'a. Łamano jedynie sobie głowę nad tem dlaczego dziś w pobliżu parlamentu, na Quai d'Orsay nie było widać zwykłego otoczenia Boulangera, któremu na każdym kroku robi krzykliwe owacje. Dzisiaj dopiero w Izbie dowiedzieliśmy się, że Boulanger oświadczył zgromadzonym z rana do raportu szefom rozmaitych grup agitujących za nim, że nie chce, aby przed posiedzeniem izby robiono mu jakiekolwiek owacje, gdyż musi wszystkie swe siły skoncentrować, ażeby szturm w izbie z należytą siłą wykonać.

Boulanger pojawił się w przedsionku parlamentu z panem Laguerre, znanym apostatą radykalnego stronnictwa, który na stronę Boulangera przerzucił się dla tego, że w szkole pana Clémenceau niezaprzeczone jego talenta nie zyskały należytego uznania. Stał się więc cywilnym adlatusem jenerała, spełnia wszystkie funkcje jego adjutanta, a jako taki dzisiaj właśnie niósł za nim czarną tekę, w której spoczywała kwint esencja rozumu stanu przyszłego cesarza.

Wszedłszy do izby, zajął Boulanger miejsce swe w siódmym rzędzie na skrajnej lewicy, a ponieważ był pierwszy zapisany do głosu, wstał, wyprężył się i oczekiwał niecierpliwie, kiedy go prezydent Izby, p. Meline, wezwie na mównicę. Atoli prezydent był tak niegrzeczny, że naprzód sam wygłosił maleńką mówkę. Zdarzyło się bowiem, że umarł poczciwy M. Plichon, konserwatywny deputowany z departamentu du Nord, bliski przyjaciel Boulangera i potrzeba było poświęcić mu parę słów pośmiertnego wspomnienia. Nie łatwa to rzecz dla takiego republikanina, jak pan Meliné, sławić zapalonego monarchistę. Ale Plichon był przynajmniej stałym zwolennikiem „systemu“.

Owóż to słowo wziął Meliné za punkt wyjścia w swej mowie, i mówiąc o monarchiście w sposób nader złośliwy, adresowany najwidoczniej do Boulangera, sławił system i urządzenia republikańskie.

Nareszcie skończył i udzielił Boulangerowi głosu. Jenerał powstał, pozostawił swoje papiery na pulpicie pod opieką sąsiadów i przyjaciół swoich, pp. Suzina, bulanżysty *quand même* i Vergoinga, osławionego z powodu awanturowania się z pewną damą z paryskiego „półświatka“, sam zaś w towarzystwie Laguerra przeszedł przez salę i wstąpił na trybunę. Laguerre odprowadził go aż do jej stopni i zajął miejsce u stóp jenerała, między stenografami, ażeby w danym razie przyjść cezarowi z pomocą.

Jenerał powitany „lekkim szmerkiem“ w Izbie, pociągnął naprzód haust ze szklanki grogu, ustawionej na trybunie i — odchrząknął. W czarnym stroju prezentuje się piękny jenerał mniej korzystnie aniżeli w uniformie. Także i sławiona jasna broda jakoś ciemniejszą się wydaje, jakby farbowana, a w twarzy mało ożywienia, mało wyrazu, na ustach wiecznie lekki uśmieszek. Boulanger występował zresztą wczoraj nie jako mówca, ale tylko jako lektor, poza jego była sztywna chociaż dość elegancka, ruchy spokojne. Ze spokojem wielkim czytając, przewracał kartę za kartką, a gdy mu przerwano, czekał, aż się w Izbie uspokoi, i ściśle w tem samem miejscu, gdzie przerwał, podejmował rzecz swoją na nowo. Nie zaimprowizował ani słowa. W zgromadzeniu, gdzie najtęższe głowy sypały dowcipami na jego koszt, ograniczył się Boulanger do tego tylko, co czarne na białem miał przed sobą napisane, nie zważając nawet na to, że żartownisie z lewicy, w nadmiarze wesołości, wołali mu „bis“! Milczał on także, gdy go prezydent Meliné wzywał do porządku, dotykając go swoją linijką, czyli laseczką prezydjalną. Nigdy jeszcze żaden jenerał francuski nie był na trybunie takim żakiem, jakim się Boulanger wczoraj okazał.

Tem więcej za to energji okazywali bulanżyści w izbie. „Siedmiu głupców“ jak Cassagnac nazywa przywódzców frakcji bulanżystowskiej dokazywali jak rzadko. Laguerre, siedzący pod trybuną, każdym razem, jak tylko mówcy przerwano wołał: Pozwól pan im krzyczeć, oni nie przemawiają w imieniu izby! — Bulanżyści w ławach swoich odgrażali się pięściami antibulanżystom, rzucając im w czasie przerw rozmaite nie bardzo ładne epitety, a także odbierając je z procentem napowrót. Ministrowie ograniczali się od ironicznego uśmiechu, tylko mały stary Goblet nie mógł się powstrzymać i wołał: „Tak nie przemawia żaden Francuz, idź pan do Berlina gadać to wszystko!“

Prawica podczas całej mowy Boulangera zacierała ręce z radości, a Cassagnac zawsze dowcipny zajął miejsce w pierwszym rzędzie ławek tuż obok trybuny i co chwila ciskał, niby rakiety, ostre dowcipne przymówki, wykrzykniki i uwagi do programu Boulangera. Od czasu do czasu wybuchał i filozof Brisson, wielki moralista trzeciej republiki.

Kiedy Boulanger skończył i powrócił do swego pulpitu, posypały się gratulacje z dwojakiego rodzaju. „Siedmiu głupców“ ściskało jenerałowi dłonie z niezwykłem rozczuleniem — z drugiej strony mnóstwo pięści z lewicy wzniosło się przeciw mówcy, a słowa: Zdrajca! morderca! sługus! posypały się jak grad.

Przemówił następnie Floquet, który zarzucił jenerałowi wszystko, co tylko żołnierzowi, polity-

*) Urywek ten wyjmujemy z listu paryskiego *Pester Lloyda*. — Przyp. Red.

---

8)

Kardynał Włodzimierz Czacki

przez

Edwarda hr. Soderini.

(Ciąg dalszy).

On to dopomógł kardynałowi Franchi pozyskać względy Piusa IX; on doradził Ojcu Świętemu wysłanie Jakobiniego do Wiednia jako nuncjusza; on wreszcie miał odwagę, za życia jeszcze Antonellego, przedstawić Papieżowi, że jest krzyczącą niesprawiedliwością trzymać w Perugzie bezczynnie tak światłego i znakomitego arcybiskupa, jak kardynał Pecci, którego obecność w Rzymie, może oddać nieobliczone usługi Stolicy Świętej.

Czackiego zdaniem było, że gdyby kardynał Pecci lub Franchi był został sekretarzem stanu za rządów Piusa IX, rzeczy byłyby poszły innym torem. Rozumiał on doskonale, że w naszych czasach, żeby dobrze rządzić, potrzeba wielkich umysłów, do jednego celu dążących wspólnemi siłami. Szukał też ich wszędzie i gdy jaki odkrył, starał się zaraz dla Stolicy Świętej zużytkować.

Daje nam to jasno poznać, jak wcale ani zawiść, ani żądza osobistego wyniesienia się czynnościami jego nie kierowały, jak przedewszystkiem szukał tylko dobra sprawy, której życie swe poświęcił. Stanowczo powiedzieć możemy, że jednę tylko miłość w sercu chował: głęboko i namiętnie ukochał Kościół i Papieża, pragnął jedynie dobra całego społeczeństwa. Osobiste cele, ambitne zamiary i wszystkie małostki, któremi się większa część ludzi dręczy, były mu obcemi. „Panujący — mawiał — choćby jak światły, nie może sam o wszystkiem wiedzieć, ani wszystkiego dojrzeć. Obowiązkiem więc zaufanych jego jest oświecać go co do istotnej wartości ludzi, by z pomiędzy nich wybierać mógł pożytecznych dla państwa urzędników.“

Jeżeli był w nim jaki cień osobistych pragnień, to chyba jedno: zachować stanowisko, na które zaufanie Ojca Świętego go wyniosło, a na którem miał sposobność zamiary swoje, w ziszczenie się których wierzył święcie, przedkładać.

II.

Ojciec Święty zatrzymując Czackiego, jako sekretarza przy swojej osobie, chciał go zarazem obeznać i z tokiem innych spraw.

Mianował go najpierw radzcą duchownym do nadzwyczajnych spraw, następnie członkiem specjalnej komisji do spraw dyplomatycznych, którą utworzył podczas soboru watykańskiego, a której Mgr. Franchi był przewodniczącym. Wówczas wszedł Czacki w bliższe stosunki z najznakomitszemi osobistościami episkopatu, całego świata i w tym czasie napisał kilka broszur politycznych, między innemi: „*Papież i Kongres, przez szlachcica polskiego*“; „*Polska i katolicyzm*“; „*Rzym i Polska*“; „*W przeddzień Soboru*“.

Później zrobił go Papież sekretarzem Kongregacji naukowej, której prefektem był przedtem kardynał Reisach, jeden z najznakomitszych ludzi swego czasu. Zaraz po przybyciu swojem do Rzymu, Czacki zaprzyjaźnił się z nim i zachował wierną pamięć tych stosunków. Był to jeden z tych ludzi, o których najbardziej lubił wspominać, równie jak i o Mgr. Mérode. O tym ostatnim wyrażał się zawsze, że to był człowiek, który powinien był być mianowany ministrem spraw wewnętrznych.

Wszedłszy do Kongregacji naukowej, postanowił dać jej nowy kierunek, a że był niezrównanym organizatorem, powiodło mu się najzupełniej. We Francji przeprowadzano właśnie organizację uniwersytetów katolickich, która zostanie jedną z najchwalebniejszych kart w dziejach tej najstarszej córki Kościoła. Sekretarz stanu pojął doskonale doniosłość dzieła i przyłożył się z całych sił do jego powodzenia. Zajmował się z równą gorliwością zakładaniem szkół katolickich w Rzymie, które za niezbędne dla młodzieży włoskiej uznawał. W ogóle wychowaniem młodych ludzi, duchownego lub świeckiego stanu troszczył się zawsze wielce. Z radością więc patrzył później na zapał nieznany dotąd, z jakim Leon XIII do rozwoju szkolnictwa przystąpił, zakładając nowe uniwersyteta i kreśląc plany nauk.

Wielką Czackiego zasługą jest, że mimo niezliczonych trudności, użył całego wpływu swojego, by doprowadzić do skutku kollegium polskiego w Rzymie; dzieła równie pożytecznego dla Polski jak i dla Stolicy Świętej.

Czacki brał także udział, chociaż nie bezpośredni, w napisaniu owego sławnego listu Piusa IX do znakomitego rektora uniwersytetu w Lilles, Mgr. Hautcoeur, w odpowiedzi na pytanie czy nauka o pochodzeniu duszy ma być wykładaną podług świętego Tomasza, czy według Ojców Jezuitów. Ojciec Święty zostawiał zupełną wolność nauczania, według tego lub tamtego systemu, byleby zawsze zgodnie z zasadniczą nauką Kościoła.

Niezwłocznie po zgonie kardynała Antonellego, zamianował Pius IX Czackiego sekretarzem do nadzwyczajnych spraw duchownych.

Do tego czasu odnosi się oryginalne zajście, które tu powtórzyć warto. Młody prałat poświęcał dotychczas służbę swoję Stolicy świętej zupełnie bezinteresownie. Sprzeciwiało się to znanej wspaniałomyślności Piusa IX i nie raz starał się przełamać upor swego wiernego sekretarza na tym punkcie, ale Czacki, chociaż skromne miał utrzymanie, nie chciał słyszeć o żadnej zmianie swego położenia

Pewnego dnia Pius IX posłał mu w darze tabakierkę złotą ze swoim wizerunkiem. Trzeba było przyjąć przecież portret Papieża!

Innym razem, w czasie jubileuszu swego, z mnóstwa darów otrzymanych, odłożył Papież niektóre przedmioty, przeznaczając je dla najzasłużeńszych ze swego otoczenia. Między innemi był tam i bardzo piękny kielich. „Jak sądzisz — zapytał Papież Czackiego — komu dam ten kielich?“ — „Zapewne jednemu z zasłużonych biskupów“. — „Zgadłeś w połowie — odparł Pius IX. — Ale musisz sam doręczyć go temu, który najlepiej około Kościoła się zasłużył“. — „Komuż więc?“ — zapytał sekretarz. — „Sobie samemu“ — odparł Papież z dobrotliwym uśmiechem.

Zamianowawszy raz Czackiego sekretarzem spraw duchownych, chciał już Pius IX stanowczo kwestję pieniężną załatwić i pomimo ponownego opierania się prałata, pozostał niewzruszony. — „Kochany Czacki — mówił — nie idzie tu już tylko o Ciebie, ale o twoich następców, którzy, sądzę że będą się czuli w obowiązku pójść za twoim przykładem, który tak mnie, jak i im nie wyda się dobrym. Bierz więc i nie mówmy o tem więcej. Jeżeli mi kiedy przyjdzie gniewać się na Ciebie, nie chcę, żeby mi wdzięczność lub ciężar nieuiszczonego długu wobec Ciebie przeszkadzały. Rozumiesz mnie?“ Sekretarz stanu zrozumiał i uległ.

Sekretarjat dla nadzwyczajnych spraw duchownych zależnym jest tylko od Papieża i odpowiada ministerstwu spraw zagranicznych w państwach świeckich. Ciężkiem więc było zadanie nowego sekretarza, tem więcej, że dzięki polityce, jaką prowadził kardynał Antonelli, a o której ostatnie słowo jeszcze wypowiedzianem nie zostało i może nie prędko zostanie, stosunki zewnętrzne nie były wcale zadawalniające.

Przeczuwano ogólnie zbliżający się koniec rządów Piusa IX i mało było chętnych do nowych czynów. Czacki mimo to wziął się do pracy i usiłował iść naprzód. Zaczął więc od zdecentralizowania sekretarjatu, którego wszystkie sprężyny nieboszczyk Kardynał w swoim ręku trzymał. Czacki pragnął natomiast, aby podwładni jego byli również jak on obeznani ze sprawami. Ustanowił tedy rodzaj komitetu, który dwa razy w tygodniu odbywał posiedzenia, a na nich sekretarz zdawał dokładne sprawozdanie z bieżących spraw, a zasięgnąwszy rad swoich pomocników, sam mianował referentów na przyszłe posiedzenie.

Był to wyborny sposób wykształcenia ludzi zdolnych na usługi Stolicy Apostolskiej, a było to najgorętszem zawsze pragnieniem Czackiego. Jeszcze za życia Antonellego, proponował Papieżowi przypuszczenie do udziału w rządach ludzi świeckich także. „Żaden rząd nie powinien — mówił — ograniczać się na jednej tylko warstwie ludzi; jeżeli chce działać należycie, musi mieć narzędzia rozmaite, inaczej popadnie w kastowość i zginiemy, w znaczeniu panowania świeckiego rozumie się. Są urzęda, w których trzeba wyłącznie wiadomości duchownych i te duchownym tylko dawajmy. Inne zaś odpowiadałyby lepiej dla świeckich; tak trudne z natury rzeczy stanowisko jak dyrektora policji naprzykład, czy nie lepiej byłoby obsadzić jakim ojcem rodziny? W nuncjaturach też młodzi ludzie świeccy przydatni byćby mogli, dodani do boku nuncjusza. Robiono tak dawniej i było dobrze, dla czego nie spróbować i teraz? Mamy radę Stanu, przypuśćmy do niej świeckich słuchaczy, a w miarę wyrabiających się zdolności mianować ich można na posady opróżnione. Przeznaczmy także co roku pięć stypendjów dla młodych księży i tyleż dla ludzi świeckich, którzy dobrze nauki ukończyli, by się w podróż udać mogli“.

(C. d. n.)

kowi i przyszłemu dyktatorowi zarzucić można, Boulanger podczas całej tej mowy milczał i zlekka uśmiechał się tylko., Tak samo zachował się podczas przemówienia szlachetnego księcia de Larochefoucauld, i starego rewolucjonisty Pyata, który mówi z pewnym zapałem, ale — bez zębów i wreszcie nie poruszony ogromnym patosem Flqueta, ani wulkanicznemi frazesami Pyata, z całym spokojem zwinął pakiet swoich papierów napowrót do teki i z nią pod pachą, z cwikierem na nosie, z wiecznym swym uśmiechem na ustach wyszedł z Izby.

Mały Fejleton.

Odwrotna strona medalu.

— Kaśka!

— Słucham.

— Chodź no tu zaraz!

— Co pan każe?

— Co każę?! Niech cię siarczyste.. Ileż to razy mówiłem ci, abyś mi nic na biurku nie ruszała. Ale do ciebie mówić, to jakby do ściany. Ja swoje, ty swoje. Kto cię o to prosił, żebyś się w gabinecie moim rządziła, jak w kuchni, kto?!

Przyskoczyłem do niej z podniesionemi pięściami.

— Kto?! — powtórzyłem.

— Przecież muszę meble z kurzu otrzepać! — odparła dziewczyna.

— Tylko mi ty jeszcze pyskuj. Trzep sobie meble i kobierce, ścieraj kurz, bo od tego jesteś, ale nie tykaj papierów, jeśli nie chcesz zabrać znajomości z kijem. Powiadam ci to ostatni raz. Czy rozumiesz?

Zrozumiała, bo wyleciała z pokoju, jak z procy, mrucząc coś pod nosem.

Skaranie boskie z temi sługami. Żadna z nich nie usłucha odrazu. Próbowałem na wszystkie sposoby: łagodnością, prośbą, perswazją. Gdzież tam! Dopiero gdy huknę i pogrożę, wtedy staje się, czego żądam.

Każdej nowej pokojówce wykładam przez całą godzinę, dla czego trzeba uszanować gabinet pana, a nazajutrz znajduję książki, które sobie w nocy rozłożyłem, zamknięte i ustawione w bibljotece podług wielkości, listy i papiery zebrane i powtykane gdzieś po kątach, gazety usunięte. Więc szukaj, gniewaj się, irytuj!

Ot, wczoraj np. porządkowałem różne rachunki. Wydobyłem z szufladek mnóstwo świstków, odkładając je, gdy mi przestały być potrzebne.

Wśród pracy zaskoczyło mnie zmęczenie... Zostawiłem wszystko na biurku i wsunąłem się pod kołdrę. Jutro, przed wyjściem do biura, skończę nudną robotę, myślałem sobie.

Aha, skończę. Już dobiega godzina dziewiąta, a ja rzucam się po gabinecie i szukam papierów. Rzucam się, bo miota mną taka złość, że mógłbym wszystko podruzgotać.

Gdzież ona mogła podziać ten dowód od szewca?

— Kaśka! — krzyknąłem przez drzwi.

Dziewczyna nie odzywała się.

— Kaśka! — powtórzyłem, tupiąc nogami.

Wsunęła się bojaźliwie i stanęła przy drzwiach.

— Czyś głucha? Gdzie podziałaś pokwitowanie od szewca?

— Od jakiego szewca, proszę pana.

— Od jakiegożby? Od szewca.

— A bo ja wiem, co to takiego?

— Taki długi papier z butem na wierzchu.

— A, ten z butem.

— A ten, ten. Gdzie on?

— Taki był śmieszny ten but.

— Cóż z nim zrobiłaś? Gadaj zaraz.

— Dałam go chłopcu od Grzelaków.

— Jakiemu chłopcu?

— Temu małemu z przeciwka. On tak lubi obrazki.

— Obrazki! Dam ja ci obrazek, nieposłuszna dziewczyno.

Już podniosłem rękę, aby jej „dać obrazek“, kiedy do pokoju weszła moja żona.

— Stasieczku, co też ty wyrabiasz? — odezwała się jejmość.

— Chcę ukarać Kaśkę za lekceważenie rozkazów moich.

Obejrzałem się. Pokojówka była już za progiem.

— Kto widział postępować w taki sposób ze sługami — mówiła moja pani. — Są to przecież ludzie, bliźni, słabsi, którym należy się od nas pobłażliwa życzliwość.

— Jest obowiązkiem pana dotrzymać sumiennie zobowiązań. które zaciągnął względem sługi i zaopiekować się nią, gdy zaniemoże, ale i chlebodawca posiada jakieś prawa. Co do mnie, nie życzę sobie, aby mi służba dotykała biurka. a jeśli się Kaśka nie zechce zastosować do moich rozporządzeń, to niech sobie rusza, skąd przyszła

Nie miałem dziś humoru do wysłuchania humanitarnych uwag magnifiki.

— Wszystko da się osiągnąć dobrocią — wtrąciła żona.

— Jak z kim. Dla dobrego wystarcza dobroć, na krnąbrnego zaś i upartego bywa kij najlepszą perswazją.

— Zaraz kij. Wy mężczyźni nie umiecie inaczej. Pamiętaj, bo... rozumiesz, bo... oto cały wasz rozum.

— A wasz jaki, moja Wandeczko?

— Nam się zdaje, że wieki średnie dawno minęły, że jesteśmy obecnie wszyscy równi nietylko wobec prawa, ale i między sobą. Nie ma pana i sługi, są tylko chlebodawcy i pracodawcy, są strony robiące między sobą wzajemne ugody.

— A mnie się zdaje — wyrzekłem — że moja pani naczytała się za wiele frazeologji socjologicznej, której nie przetrawiła należycie. Przedewszystkiem nie zmieni się człowiek mimo postępu różnych umiejętności. Dobry był dobrym i w wiekach średnich, zły jest i dziś złym. Sługa uczciwa i uważna nie usłyszy odemnie ani jednego przykrego słowa, ale Kaśce, jeśli nie będzie słuchała, wygarbuję skórę, a zobaczysz, że się natychmiast poprawi.

— A ja będę dla niej pobłażliwą. Mam wstręt do wszelkich środków gwałtownych.

— Rób sobie, jak chcesz, byleś się do mnie nie zgłaszała, co już nieraz bywało.

— Zobaczymy, kto dalej dojdzie.

— Zobaczymy.

Nie pierwszy to raz spieraliśmy się z moją panią w tym względzie. Ona, naczytawszy się różnych powieści i nowel o Jankach, Maćkach, Kubach, Antkach, o Kaśkach Maryśkach i Magdach, napłakawszy się nad bibulaną niedolą tego proletarjatu, widziała w każdej dziewce, z której czerwonej twarzy tryskało zdrowie i zadowolnienie z życia, nieszczęśliwą ofiarę, a w każdym uczniu szewskim, bawiącym się wybornie na świecie mimo pociągla majstra, wietrzyła sierotę, kalekę, wydziedziczonego i Bóg wie nie co.

Ja zaś obchodziłem się z ludźmi po „staroświecku“.

Kucharce, kobiecinie cichej, pracowitej, uczciwej, służącej jeszcze u moich rodziców, byłem nie panem, ale przyjacielem; szewcowi, który mi buty odnosił, podawałem krzesło i gawędziłem z nim o jego biedzie, ale, gdy zaszła potrzeba, umiałem krzyknąć, a nawet uderzyć!

Przekonałem się z praktyki, że postępowanie, choćby najsurowsze, byle sprawiedliwe, działa na służbę daleko skuteczniej, aniżeli wszelkie gruntowne gadaniny, których nawet nie rozumiała.

Innego zdania była moja żona. Nie mięszałem się do jej spraw. Niech sobie postępuje, jak uważa, że powinna.

Od owej dysputy minęło kilka tygodni. Kaśka nie poruszała mi już nic na biurku. Choćbym był góry papierów na nim złożył, nie ośmieliła się ich dotknąć.

Wszystko, co się do mnie odnosiło, wykonywała pośpiesznie i bez nagany. Groźba poskutkowała widocznie.

W zamian za jej usłużność, pamiętałem o jej potrzebach.

Pewnego razu, gdy zachorowała, biegałem w nocy po mieście, szukając doktora.

Rzecz szczególna. Rozkazom moim zawsze posłuszna, śpiesząca niezwłocznie, gdy zawołałem, zaczęła lekceważyć rozporządzenia mojej żony, która przemawiała do niej jak do „strony“ i pobłażała jej we wszystkiem.

Spostrzegłem, że Kaśka lubi zanadto „chłopców“. Prawie codziennie widywałem ją w bramie z innym kawalerem.

Zwróciłem uwagę żony na tę niewłaściwość, a moja pani na to:

— Cóż chcesz? I tacy ludzie mają krew i serce.

Nie przeczę, ale dziewczyna, która wystaje w bramie godzinami, musi zaniedbywać obowiązki.

Zauważyłem dość często, że żona moja czyściła sobie sama sukienki, a raz zastałem ją nawet w salonie przy okurzaniu mebli.

— Gdzież Kaśka? — pytam — to jej czynność.

Pani moja milczała.

Aha, pomyślałem sobie. Już się coś psuje w tym idealnym stosunku między chlebodawczynią i pracodawczynią. Ale cóż mnie to może obchodzić? Jak chciała, tak ma.

Kilka razy zdarzyło mi się pochwycić szorstką odpowiedź Kaśki, wystosowaną do żony. Gdy dziwiłem się temu brakowi uszanowania, broniła jedna „strona“ drugiej w sposób następny:

— Cóż chcesz, mój drogi. Nikt takiej dziewczyny nie chowa, nikt jej nie uczy przyzwoitości i form towarzyskich.

Wiedziałem o tem bardzo dobrze i właśnie dla tego nie przemawiałem do służby zwrotami konwencjonalnej grzeczności, których lud prosty nie umie ocenić.

Czasami zdawało mi się, że żona chce się poskarżyć. Spotkawszy się jednak z moim wzrokiem szyderskim, przygryzała wargi i milczała.

Pewnego razu zaprosiliśmy do siebie kilka osób na herbatę. Goście zeszli się już od godziny, a mojej pani ani widać. Gdzież się mogła podziać? Bawiłem panie sam, jak umiałem, choć mi to nie sprawiało przyjemności.

Nadszedł czas kolacji. Panowie spoglądali ukradkiem na zegarki i zaczęli ziewać. Podnosiłem się na krześle, jak gdyby mnie z dołu ktoś kłuł, zimny pot wystąpił mi na czoło. Co się stało, do wszystkich...

W tem wbiegła do salonu kucharka i zawołała:

— Niech-no pan przyjdzie do kuchni, bo tam Sodoma i Gomora, o Jezu.

Przeprosiłem gości i pobiegłem do królestwa starej Jagny. Była tam rzeczywiście Sodoma i Gomora. Żona moja, z rozwianemi włosami, z zasmolonemi rączętami, płakała, kucharka klęła w żywe kamienie, a młodsza, ubrana w chustkę, wrzeszczała w niebogłosy: nie pójdę, nie chcę!

— Co się tu dzieje? — wrzasnąłem.

Wszystkie trzy kobiety zaczęły naraz opowiadać, a każda co innego: a wystaw sobie, ta Kaśka... proszę też pana, ta Kaśka... a bo pani...

— Niech jedna gada, bo nie dojdę do ładu.

Dowiedziałem się teraz, że Kaśka, którą żona posłała po coś do miasta, zabawiała się zwyczajem swoim gawędą z jakimś drabem, zamiast się z sprawunkami śpieszyć, że się tymczasem pieczeń cielęca przypaliła; że pokojówka, strofowana przez zniecierpliwioną „stronę,“ stawiała się hardo, że „strona“ mocniejsza, doprowadzona do ostateczności, uderzyła słabszą, a ta wymawia dalszego posłuszeństwa i służyć nie chce.

Byłbym się rozśmiał, gdyby nie rzewny płacz mojej żony. Ona uderzyła swoję „stronę!“

A gdzież zasady humanitarne?

Skoczyłem do Kaśki i zerwałem z jej ramion chustkę.

— Bierz półmiski w garść i jazda do pokojów — zawołałem.

— Nie pójdę, nie chcę takiej służby — mówiła dziewczyna.

— Pójdziesz! — huknąłem. — A jutro won z domu. Rusz się.

Porwała półmiski i pobiegła do salki stołowej.

— Ja cię nauczę moresu, ty...

Nie czekała na ten „mores,“ bo wiedziała, że nie lubię żartów.

— A ty — zwróciłem się do żony — naucz się raz być panią w swoim domu i przypatrz się najsamprzód człowiekowi, który ma od ciebie zależeć. Nie każdy oceni twoję dobroć i uprzejmość.

Od tego czasu nie bawiła się już moja pani w filantropkę. Zwyczajem białogłów, które nie umieją nigdy i w niczem zachować miary właściwej, przesadziła nawet w kierunku przeciwnym.

T. J. Choiński.

List do Redakcji.

W sprawie opuszczonych.

Przed niedawnym jeszcze czasem, ktobykolwiek, podróżując po trzech dzielnicach dawnej Polski, oparł się o pałac magnata, lub o dwór szlachecki średniej nawet zamożności, ujrzałby z pewnością przy szarym końcu stołu kilka siwowłosych postaci, czasami ciężkim kalectwem dotkniętych, częściej rzeźwych i krzepkich, którzy stanowili jakby pośrednią klasę między rodziną a gośćmi. Byli to tak zwani r e z y d e n c i, zwykle dalecy krewni, czasem zupełnie obcy ludzie, lecz godni litości w opuszczeniu i osieroceniu tak dotkliwem w starości.

Ktokolwiek pozostał sam jeden na świecie, padł ofiarą losu, lub po prostu nie miał żyć z czego, mógł być pewien, że znajdzie przytułek w jakim domu pokrewnym. Rezydentki, nieraz bardzo wiekowe staruszki, pomagały pani domu w dozorowaniu służby, w leczeniu kmiotków, dreptały po całym domu, starając się być jeszcze użytecznemi w czem i jak mogły. Rezydenci dzielili trudy gospodarskie swego chlebodawcy, pilnowali stajni lub lasów, a w ostatecznym razie gdy i do tego nie byli zdolni, to choć służyli za partnera do marjasza lub wista. Żaden z nich nie czuł się niepotrzebnym lub natrętem, szczupłe nieraz ściany dworków szlacheckich rozszerzały się i przytulały pod swój gościnny dach skołatane burzami życia głowy starców, którzy tu znajdowali już do końca życia serdeczną opiekę.

Inne znowu rozbitki życiowe, pragnąc resztki dni swoich spędzić w ciszy i modlitwie, znajdowały przytułek po klasztorach, gdzie osiadały jak mówiono n a d e w o c j i. I wszędzie, przy każdym klasztorze tak męskim jak żeńskim kupiło się kilkoro takich postaci, które za skromnem wynagrodzeniem, znajdowały tam kąt cichy i ciepły, strawę zdrową, opiekę troskliwą i wszelkie duchowe pociechy, tak zbolałym duszom upragnione.

Gdzież to się wszystko podziało? Czyż dziś życie społeczne tak szerokiem korytem płynie, tyle zamożności w koło siebie roznosi, że już nie ma takich rozbitków życiowych? Czyż się już nie spotyka starców zwalczonych losem i tak osierociałych, że nie mają nikogo, któryby ich drżące wspierał kroki?

Niestety, jest ich wiele i więcej niż bywało! więcej widzimy dzisiaj nagłych przewrotów fortuny, więcej strasznych przejść i wstrząśnień, — których skutkiem nędza i osierocenie — ale nie ma tych, którzyby tej nędzy i temu sieroctwu pomocną rękę podawali. Serca wyziębły i zamknęły się w trudnej walce o byt, domy szlacheckie zmalały i zacieśniły się, nie ma już w nich miejsca dla rezydentów, choćby ci byli rodzeni bracia lub siostry! Klasztory pozamykane w Królestwie i Poznańskiem, w Galicji tak przepełnione, przy zmniejszonych od czasów Józefa II dochodach, że nie są w stanie dawać przytułku osobom świeckim, co im zresztą obecnie i przez władzę duchowną ze względów karności zakazanem zostało.

Tam jednak, gdzie dobroczynność prywatna ustaje, powinno wystąpić społeczeństwo. Wszędzie po innych krajach są zakłady przeznaczone na s c h r o n i e n i e dla n i e z a m o ż n y c h o s ó b w i e k o w y c h. Wzorem takowych jest zakład St. Perrine w Paryżu, gdzie za roczną płacą 1000 franków osoby wiekowe obojej płci znajdują utrzymanie wygodne, a nadto piękny ogród, bibljoteka, wspólny salon z pewną elegancją urządzone, pozwalają im użyć trochę tego komfortu, do którego przez całe życie przyzwyczajone były. Nasz kraj za biedny, aby na tak wielką stopę mógł o schronieniu dla swoich inwalidów społecznych pomyśleć, ale są inne tego rodzaju zakłady, ze skromniejszemi wymaganiami; takim jest n. p. „Damen-Asyl“ w Mödling pod Wiedniem, utrzymywany przez siostry zakonne B o r o m e u s z k a m i zwane, wzorowo prowadzony, gdzie płaca miesięczna od jednej osoby wynosi od 20 do 30 zł. Za te skromne wynagrodzenie damy tamże osiadłe, mają każda osobny pokój wygodnie urządzony, wspólną jadalnię i ogród, utrzymanie całkowite, usługę codzienną, mszę w kapliczce Zakładu i najtroskliwszą sióstr opiekę.

Na tę modłę możnaby coś u nas zrobić. Że ofiarności w społeczeństwie naszem nie brakuje, tego dowodem liczne zapisy dobroczynne, piękne fundacje Helclów, Lubomirskiego i innych w Krakowie, Skarbków we Lwowie, Sobańskich, Pustowskich, Rapackiej w Warszawie — jedne dla żebraków lub nieuleczalnych kalek, inne dla sierót i włóczących się chłopców (a tych najwięcej) nikt jednak nie pomyślał o tych, którzy kiedyś lepszej doli zaznawszy, dziś nie potrafią ręki wyciągnąć, a gdy starość sił do pracy odmawia, kalectwo przygniecie, w strasznem i beznadziejnem kończą opuszczeniu.

Gdyby się jednak znalazła tak ofiarna dusza, któraby tę boleść, tę nędzę utulić i pocieszyć chciała — to obecnie w Krakowie nie wielkim kosztem do takiego S c h r o n i s k a przyjść by można. Są trzy do tego drogi:

1. Siostry Miłosierdzia na Kleparzu, stawiając z zapisu Helclów wielki gmach dla nieuleczalnych kalek, chętnie by się podjęły urządzić w jednem skrzydle mieszkania dla pensjonarzy płatnych, pań czy panów, którzyby tamże osiąść chcieli; co przy stojącym już gmachu niewielkim funduszem na ten cel ofiarowanym uskutecznić by się dało.

2. Zgromadzenie Marjackie (córki miłości Bożej) niedawno do Krakowa sprowadzone, mieszkające na ulicy Biskupiej, a których celem jest wychowywanie sług, mają w swej regule obowiązek przyjmowania dam starszych na pensję, nie przenoszącą 30 zł. miesięcznie. Wychowanki zakładu, obsługując te panie, miałyby tym sposobem już praktyczną naukę tak w kuchni, jak w praniu i osobistej usłudze.

3 Siostry Zgromadzenia Nazaretu, zamieszkałe na Warszawskiej ulicy, a trudniące się przygotowaniem dzieci do pierwszej komunji i przyjmujące na czas kilkudniowy damy chcące odbyć rekollekcje, mają także w swej regule pozwolenie na otwarcie „Schronienia“ dla dam wiekowych; lecz obydwa te zgromadzenia niedawno osiadłe, mieszczą się w tak ciasnych domkach i rozporządzają tak małemi funduszami, że dziś nie są w stanie jednej nawet osobie dać przytułku; toż zapis 10—15 tysięcy zł. na ten cel wyłącznie przeznaczony. umożliwiłby otwarcie takiego „Schroniska“, pod imieniem ofiarodawcy — gdyby tego żądał — choćby początkowo na kilka tylko osób, a z czasem zakład ten sam z siebie utrzymać się i wzrastać by mógł.

Dodać tu musimy, że we Lwowie Siostry Franciszkanki od Sakramentu mają dom urządzony na przyjmowanie świeckich mieszkanek, lecz Zakład ten wygórowanemi wymaganiami nie odpowiada wyż wzmiankowanemu celowi.

Puszczamy tych słów kilka między szerszą publiczność, mając nadzieję, że one trafią do jakiego litościwego i ofiarnego serca, i że sprawa opuszczonych podjętą szczęśliwie zostanie.

Kraków 1888. *XX.*

Kronika.

Lwów, dnia 14 czerwca.

Dar. Najj. Pan udzielił z prywatnej Swej szkatuły gminie Bukowina, w powiecie nowotarskim, na dokończenie budowy kościoła, zapomogi w kwocie 100 złr.

Zatwierdzenie wyboru. Najwyższem postanowieniem z dnia 29 maja 1888 r., zatwierdził cesarz wybór Augusta Korczak Gorayskiego na Prezesa, i Jana Trzecieskiego na zastępcę prezesa Rady powiatowej w Krośnie; tudzież wybór dr. Adama Jędrzejowicza na prezesa Rady powiatowej w Rzeszowie.

Zwłoki śp. Władysława hr. Badeniego przywieziono dzisiaj rano do Lwowa. Na dworcu oczekiwało ich przybycia oprócz rodziny, wiele osób spokrewnionych z domem Badenich. Złożono na trumnie kilkadziesiąt wieńców, poczem zwłoki odwieziono do Buska.

O cercle'u cesarskiem, odbytem bezpośrednio po oficjalnem przyjęciu Delegacji przedlitawskiej, donoszą nam z Pesztu co następuje: „Najj. Pan rozpoczął *cercle* od Smolki i przemawiając do niego, wyraził mniemanie, że delegacje prędko załatwią swoje czynności. JE. dr. Smolka odpowiedział, że zrobi się co można, ażeby jak najprędzej wszystko załatwić, chociaż obawiać się należy pewnej zwłoki z tego powodu, że członkowie Izby Panów muszą wracać do Wiednia dla obrad nad podatkiem spirytusowym. Dodał dr. Smolka, że doniesienie jednego z pism peszteńskich, jakoby delegacje miały obradować do 10 lipca, wprawiło go poprostu w zdumienie. Byłoby to okropne i spodziewać się należy, iż rzeczy o wiele wcześniej załatwić się dadzą. Cesarz uśmiechnął się na to i odrzekł, że w lipcu już upały są zbyt dokuczliwe i delegacje choćby ze względu na to będą musiały przyspieszyć swe prace.

„Następnie rozmawiał cesarz z p. Chlumeckim. Przy tej sposobności określił sytuację polityczną jako pokojową. Potem mówił z Meznikiem i Riegerem. Posłowi Jaworskiemu wyraził swe zadowolnienie z pozycji, jaką zajęli Polacy w sprawie podatku spirytusowego. Z referentem komisji budżetowej p. Mattuschem mówił cesarz o kwestji wydatków. Podniósł ważny wzgląd na potrzeby państwa, wyraził się jednak bardzo uspokajająco w tym względzie, i dodał, że w żądaniach dzisiejszych nie leży bynajmniej precedens do większych żądań w przyszłości.

„Cesarz rozmawiał jeszcze z wieloma innymi członkami delegacyj wypytując o najrozmaitsze sprawy publiczne a także i prywatne; ale oprócz Smolki i Jaworskiego nie zaszczycił zresztą swą rozmową żadnego z Polaków.“

Piękny czyn. Michał hr. Załuski, właściciel dóbr w Iwoniczu odstąpił fundowany przez się „Dom ubogich“ w Iwoniczu, noszący nazwę „szpitala św. Amelji“ na filję lwowskiego szpitala dziecięcego pod wezwaniem św. Zofji. Hr. Załuski odstąpił mianowicie na lat 10 główny budynek szpitalny, tudzież kuchnię, oraz 6 sągów drzewa opałowego rocznie i obsługę, dalej zobowiązał się ponieść koszta przeprowadzki, a wreszcie za pewnę ryczałtową opłatą pozwolił używać chorym dzieciom tyle kąpieli, ile będą potrzebowały. Wiadomo, że wody Iwonickie szczególnie dobroczynny wpływ wywierają w chorobach skrofulicznych, a że w czasach dzisiejszych choroby te u dzieci są bardzo powszechne, przeto ofiara hr. Załuskiego na tem większe uznanie ogółu zasługuje.

Wybór uzupełniający jednego członka Rady powiatowej w Tarnowie z grupy gmin miejskich, rozpisany został na dzień 19 lipca b. r.

Na pogrzeb ś. p. Badeniego wysyła reprezentacja miasta Lwowa do Buska delegację złożoną z prezydenta miasta p. Mochnackiego i radnych pp. dr. Roszkowskiego, Breyera, Michalskiego, dr. Schaffa, Russmanna i dr. Witza.

Z Rady miejskiej. Wczorajsze posiedzenie Rady miejskiej nie przyszło do skutku z braku kompletu. Nie dostawało 7 radnych do przepisanej statutem liczby. Ci radni, którzy przyszli na posiedzenie, czekali na swych kolegów do godz. 8mej, poczem się rozeszli z smutnemi myślami do domów.

Wspomnienie pośmiertne. Dnia 12 b. m. w majątku własnym Pobereże pod Jezupolem zmarł w 56 roku życia Marjan Kozicki, syn śp. Edwarda i Julji z baronów Błażowskich Kozickiego, właściciela dóbr Siekierzyńce w powiecie Husiatyńskim.

Zmarły z zawodu i zamiłowania rolnik, gorliwie wysługiwał się krajowi na każdem polu pracy publicznej. Z chwilą wejścia w życie naszej autonomji powiatowej zaufanie obywateli powiatu Zaleszczyckiego, gdzie wówczas zamieszkiwał, powołało go do godności zastępcy prezesa tamtejszej Rady powiatowej. Na stanowisku tem oddał powiatowi rzetelne posługi i będąc w Wydziale powiatowym referentem spraw szkolnych, przyczynił się nie mało do założenia wielu szkółek ludowych, lub podniesienia ich dotacji. Z ża-

---

49

RÓZIA.

POWIEŚĆ

przez

Zofję Kowerską.

(Ciąg dalszy).

— Myślałem, że już dziś przyszedł cios, którego spodziewałem się dawno — zawołał. — Wiem, że jestem nudnym, nieznośnym towarzyszem, że pani tylko przez litość mię znosisz... O Boże, przez jeden moment przecierpiałem tyle!...

W tej chwili rozległ się śmiech dziecinny i małe rączki pierwszoklasisty uderzyły brawo.

Rózia otworzyła śpiesznie drzwi, zapaliła światło. Była zmięszana, onieśmielona odezwaniem się Łosickiego i śmiechem dzieci, które go szpiegowały. On był zanadto podniecony, by mógł zauważyć obecność chłopców, lub niepewność Rózi; z poprzednim zapałem przysunął się do niej.

— Pani jesteś dobra — mówił — czujesz czem dla mnie jest możność patrzenia na ciebie, słuchania twego głosu, twej gry... Nadzieja spędzenia tu wieczoru na tydzień dodaje mi siły, zdrowia... mam ochotę żyć, pracować, gdy pomyślę, że mi los zesłał nagrodę... Pani, czy ty wiesz... czy ty wiesz?..

Oczy i policzki jego płonęły. Rózi zdawało się, że chce rzucić się przed nią na kolana, czy porwać ją w objęcia. Przestraszyła się.

— O, bo będę żałowała, żem wróciła! — zawołała, odsuwając się i marszcząc brwi. Drzwi moje będą otwarte, ale dla ludzi spokojnych, rozsądnych... Byłoby mi przykro... ale musiałabym... na miłość Boską, proszę sobie nie wystawiać rzeczy, które nie są..

Urwała. Przed nią stał już dawny, wyblakły młodzieniec. Tamten, z zapałem w oczach, zniknął bez śladu, czar otwierający mu usta prysnął. Ujrzała Łosickiego nieśmiałego i zakłopotanego, dążącego do krzesła, na którym siadywał zwykle. W rękach, okrytych jasnemi rękawiczkami, trzymał niezgrabnie bukiet pięknych róż...

— Co za śliczne róże! — rzekła zbliżając się. Litość znowu przejęła jej serce i chciała dać dowód, że przebaczyła zbyt śmiałe słowa, że wszystko zapomnianem zostało.

Łosicki wstał nieśmiało i drżącą rękę z bukietem wyciągnął ku niej. Chciał przemówić, widocznie nie mógł, tylko spojrzenie prosiło, błagało...

— Dla mnie te róże? — rzekła wesoło. — O jakże śliczne! Wezmę je, ale pod jednym warunkiem... Nigdy więcej, rozumiesz pan, nigdy żadnych prezentów czynić mi nie będziesz... nie przyjmę nic, nic.. gdybyś pan nie posłuchał, uciekłabym w każdą sobotę.

Dalszą rozmowę, jak zwykle, musiała prowadzić sama. Łosicki przez cały wieczór milczał uparcie.

Rózia częste od brata odbierała listy. Czekała ich z upragnieniem, witała z radością. Czasem w kopercie znajdowała doręczoną ćwiartkę, lub świstek tylko, zapisany przez dziewczynki. Patrzała wzrokiem, który łzami zachodził, na te niezgrabne litery, mówiące jej o przywiązaniu dzieci. Wstydziła się swej sentymentalności, ale gdy była samą, całowała ten papier, którego dotknęły małe rączki Helenki i Olesi...

— I cóż dziwnego, że je kocham, — mówiła sobie — muszę przecie kochać kogoś... Niewielu istotom na świecie staje w drodze moja miłość!

Wreszcie w jednym z listów przyszła wieść, że za dni kilka cała rodzina znajdzie się w Warszawie. Mieczysław prosił siostrę, by się dowiadywała o jakie miejsce dla niego. Mógł może zająć posadę w jakim banku, domu komisowym, lub towarzystwie ubezpieczeń. Pisał:

„Pożądane byłoby dla mnie miejsce, które pozwoliłoby mi na samodzielność, inicjatywę, rozwijanie planów samoistnych Nieszczęścia losowe nie pozwoliły mi pokazać w praktyce, jak moje pomysły bywały wielkie i trafne. Nieudanie się planu nie może wcale być dowodem jego słabości. We wszystkiem mogą przeszkodzić ludzie, okoliczności, los... Ja wiem, Róziu moja, że ty to rozumiesz, żeś ty odczuła we mnie zdolności wielkiego strategika w interesach. Myślę często, że ja powinienem był udać się choć na lat kilka do Ameryki. Tam jest kraj, gdzie świetne pomysły popłacają. Na hypotekę myśli szczęśliwej sypią się miljony dolarów, które potem przynoszą zyski w dwójnasób. U nas inaczej. U nas kapitał jest lękliwy, jest go mało, ludzie boją się nowości, nie dowierzają potędze umysłowej, cofają się przed śmiałością, która jedna tylko zapewnić może prędki dorobek. Pomimo to trzeba ludzi porwać, kapitały zmusić do poddania się, zagłuszyć szyderstwo i niedowierzanie...“

Po przeczytaniu tego listu Rózia smutnie się zamyśliła. Czuła, że nie mogła brać słów brata na serjo, zdawało jej się, że mówiło do niej dziecko, dla którego trzeba było być pobłażliwym. Najbardziej dotknęło ją to, że zauważyła w słowach Mieczysława większą niż dawniej, dozę marzycielstwa, z przymieszką blagi. Obie te wady znała w nim, zwiększały się one w miarę doznawanych nieszczęść, teraz dochodziły do bujnego rozkwitu. Mieczysław wprawił się był w djalektykę, której przez lat tyle musiał używać względem niej, względem wierzycieli, interesantów. Ona wiedziała, że blaga jego była naiwną, egzaltowaną, bez premedytacji, ale jak jej brat wyda się z nią obcym ludziom? Czy wzbudzi pogardę, czy litość?

W kilka dni potem, zjawił się on sam. Był roztargniony, niespokojny, a jednak zdawał się być przejęty ważnością chwili.

— No, jesteśmy nareszcie w Warszawie, — rzekł z takim odcieniem w głosie, jak dowódzca, mówiący: „Zdobyliśmy nareszcie miasto.“ Jeszcze się tu nie rozejrzałem, nie widziałem nikogo... Zenia się rozpakowuje i urządza mieszkanie... to kobieca rzecz, ja się w to nie wtrącam... No, jakże ci tu jest? Teraz będę spokojniejszy o ciebie, w każdym razie przynajmniej będziesz mogła udać się do mnie... Pomówię z Zenią... mogłabyś mieszkać przy nas...

— Nie — odparła Rózia — nie miej mi za złe.. ale jestem zazdrośna o moję swobodę... chcę sama sobie zawdzięczać wszystko. Dawanie lekcji męczy mnie, słuch cierpi, czy nerwy, ale się oswoję z fałszowaniem moich uczniów.. Jestem rzeczywiście zupełnie szczęśliwa i zadowolniona teraz... zostawcie mi wolność... Mam upodobanie w życiu, jakie teraz wiodę... Obiady pani Ilskiej smakują mi jak żadne, ponieważ je opłacam własnym zarobkiem i dobrze mi jest, zupełnie dobrze.

— A starałaś się tu o jakie miejsce dla mnie?

— Nie, nikomu nic nie mówiłam.

— Szkoda.

— Nie umiałam sobie odpowiedzieć na zapytanie, co byś ty mógł robić.

— Jakto co? Przecież pisać umiem, rachować, myśleć, prowadzić interesa... O, ja sobie tu miejsce znajdę i dopiero wam pokażę, co ja mogę robić... Kiedy ty znalazłaś zajęcie i zadowolniona jesteś, tem bardziej ja je znajdę... Tylko trzeba się rozejrzeć, poszukać... tu teraz musi być Rażyński...

— Och, do niego się nie udawaj!

— Dlaczego? On tu ma stosunki w wielkim świecie i w świecie finansowym... muszę się dowiedzieć, gdzie on stoi... Bądź zdrowa Róziu... ja tu często będę przychodził... cieszę się, że już sama nie będziesz na warszawskim bruku.

— Dzieci zdrowe?

— Zdrowe. Ciągle w oknie wszystkie siedzą, ruch warszawski je bawi. Przyprowadzę ci je.

Rózia uściskała brata i smutnemi oczami spojrzała za odchodzącym. Oddawna przyzwyczaiła się do tego uczucia bolesnej litości, jaka ją ogarniała przy każdem zetknięciem się z Mieczysławem. Myśl o spotkaniu z Zenoną przejmowała ją strachem. Chciałaby była nie widzieć jej już nigdy w życiu, ale pragnęła zobaczyć dzieci i pragnienie to co chwila silniejszem się stawało. Nazajutrz rano już mu się oprzeć nie mogła. Zenona lubiła sypiać długo, dzieci wstawały wcześnie, wybrała więc na odwiedziny poranną godzinę. Dziewczynki przyjęły ją z okrzykami radości, obie chciały jednocześnie siedzieć na jej kolanach, obejmując jej szyję. Musiała sumiennie rozdzielać pieszczoty, bo najmniejsza niesprawiedliwość wywoływała paroksyzmy zazdrości.

— Ciocia już od nas nie odjedzie? Prawda ciociu? Ciocia zostanie?

— Nie, ale często przychodzić będę.

— Ciocia nas nie kocha!

(C. d. n.)

iem przeto żegnał go powiat, kiedy w r. 1870 przeniosząc się w inne strony kraju złożył mandat do Wydziału powiatowego, a współpracownicy zmarłego stracili przez to dzielną pomoc pracowitego, sumiennego i rozumnego kolegi.

Ś. p. Marjan z zamiłowania — jak powiedzieliśmy wyżej — rolnik, będąc członkiem Towarzystwa gospodarczego, a przewodniczącym oddziału zaleszczyckiego, żywym przykładem postępowego i racjonalnego gospodarstwa własnego i gorliwem popieraniem postępu w naszem rolnictwie, nie małe położył zasługi koło podniesienia dobrobytu naszego kraju. Oddawszy na kilka lat przed śmiercią zarząd majątku synowi, ręką, która dotąd wodziła sochę, chwycił pióro i idąc za wzorem swojego krewniaka Kornela Ujejskiego puścił w świat kilka utworów swojej muzy, oryginalnej a może nawet dziwacznej formą, ale bogatej w niejedno ziarnko zdrowej myśli i podniosłego uczucia.

Wylany i szczery w stosunkach sąsiedzkich, przytem usposobienia, które łączyło w sobie powagę z jowialnym humorem naszych przodków, przez cały swój żywot był wysoce cenionym i kochanym przez swoich współobywateli, a nie leniwy w oddawaniu im posług, na długo pozostanie w ich miłej pamięci.

Spełniwszy obowiązki obywatela, męża i ojca, spoczął dziś w ziemi, którą kochał szczerze, więc niech będzie ona ciężką jego śmiertelnym szczątkom.

Pogrzeb odbędzie się 15 b. m. w majątku rodzinnym zmarłego w Kołędzianach koło Czortkowa.

Wycieczkę do Oleska i Podhorzec, słynnych z zabytków historycznych, urządza towarzystwo rękodzielnicze „Gwiazda" w niedzielę dnia 17 czerwca r. b. Wyjazd ze Lwowa o godz. 5½ z rana z dworca na „Podzamczu", a powrót do Lwowa nastąpi o godz. 9 wieczorem. Biletów udziałowych nabyć można w biurze Stowarzyszenia „Gwiazda", tudzież w handlach pp. Abrysowskiego w rynku, Głodzińskiego przy ul. Kopernika i Völkera w rynku. Tam też można powziąć bliższych wiadomości o warunkach odbycia tej wycieczki.

Mściwa niewiasta. Były dwie niewiasty i żyły ze sobą długi czas w zgodzie i przyjaźni, aż wreszcie, ponieważ wszystko ma swój koniec na tym świecie, pokłóciły się ze sobą pewnego pięknego dnia i jedna z nich, aby się zemścić na drugiej, spotkawszy jej 12-letnią córeczkę na mieście, zabrała ją ze sobą do swego domu. Tam nic jej złego nie robiła, owszem otoczyła ją pieszczotnami, obdarowała zabawkami, dała tyle cukierków i ciastek, że dziecko chętnie gościło i nie napierało się wracać do domu. Tymczasem jego rodzice pogrążeni byli w strasznej rozpaczy, a wszelkie ich poszukiwania, wszelkie zabiegi w celu odnalezienia straconej córki nie doprowadziły do żadnego rezultatu. Minął dzień drugi, trzeci, a córki nie było. Każdy może sobie snadno wyobrazić co się działo w sercu biednego ojca i matki. Odchodzili od przytomności. W tem pewnego dnia dziewczynka wraca i opowiada co się z nią działo. Oczywiście wniesiona została skarga do sądu i mściwa niewiasta gorzko będzie pokutowała za swój czyn brzydki.

Oszust na wielką skalę. W roku ubiegłym bawił we Lwowie niejaki Izaak Rauchmann, młody człowiek liczący lat 24, który przedstawiał się wszędzie jako słuchacz filozofji z tego tytułu, że prywatnie za zezwoleniem kilku profesorów uczęszczał na ich wykłady. Pozawiązywał w tym czasie stosunki z młodzieżą akademicką i stosunków tych nadużył, wyłudzając rozmaite pożyczki, a nawet wprost kradnąc niepostrzeżenie książki, zegarki, parasole etc. etc. Kiedy już nabroił tyle, że lada chwila mógł się spodziewać zdemaskowania, wyjechał do Tarnopola. Tam zgłosił się do konwiktu OO. Jezuitów, gdzie dzięki wrodzonemu sprytowi, potrafił niebawem pozyskać zaufanie ks. rektora, tak, że ten się zgodził na to, aby Rauchmann przygotowywał kilku uczniów do egzaminu dojrzałości. Rauchmann chwalił się, że studja kończył w Teresianum i że ma ogromne wpływy w ministerjum. To też gdy jednemu uczniowi brakowało świadectwa z I kursu 8 klasy, Rauchmann oświadczył gotowość wystarania się o tę „bagatelkę" i rzeczywiście w przeciągu dwóch tygodni świadectwa takiego dostarczył. Okazało się później, że świadectwo to było fałszywe, Rauchmann jednak nie dał za wygranę i chcąc udowodnić autentyczność świadectwa, zamówił za pośrednictwem pewnego optyka w Tarnopolu u lwowskiego rytownika Schapiry pieczątkę z napisem: *K. k. Ministerium für Unterricht und Cultus. 3. Section.* W ten sposób chciał on widocznie sfałszować potwierdzenie autentyczności świadectwa. W tym czasie — jak się również dopiero później pokazało — Rauchmann zamówił w Berlinie pieczątkę z napisem „C. k. gimnazjum św. Anny", a nadto blankiety świadectw dojrzałości. Otrzymał atoli odmowną odpowiedź, tem umotywowaną, że podobne świadectwa bywają wykonywane tylko na żądanie władz szkolnych.

Sprawa ze świadectwem podrobionem, jak niemniej różne inne pomniejsze nieczyste sprawki, które w tym czasie na jaw wyszły, skłoniły ks. rektora konwiktu tarnopolskiego do usunięcia Rauchmanna. Dał mu ks. rektor pieniądze na drogę i wyprawił z Tarnopola.

Rauchmann wyjechał do Berna, w sam czas, gdyż p. Schapira otrzymawszy z Tarnopola zamówienie ministerjalnej pieczęci doniósł o tem policji, a policja poczęła ścigać Rauchmanna. W czasie dochodzeń okazało się, że Rauchmann już w czasie pobytu we Lwowie miał wiele listów i biletów polecających od osób znakomitych, jak od JE. Smolki, dr. Dunajewskiego, hr. Byland Rheidta — wszystkie te bilety były jednak sfałszowane.

Ponieważ nie wiedziano na razie dokąd Rauchmann umknął, przeto trzy miesiące broił on sobie w Bernie. Tutaj przedstawił się najpierw namiestnikowi hr. Schönbornowi, i staroście hr. Vetterowi, który wyszukał mu miejsce dyetarjusza przy morawskim urzędzie budowniczym. Rauchmann mieszkał przez trzy miesiące u urzędnika S. Tymczasem wskutek rozpisanych przez policję lwowską listów gończych, policja berneńska zaczęła śledzić Rauchmanna, a w końcu osobny tajny ajent, który umyślnie w celu zbadania podejrzanej figury zaznajomił się z urzędnikiem S. doszedł w ciągu krótkiego czasu po pewności, że Rauchmann, który w Bernie przybrał przydomek v. Raabthal, jest osobą ściganą listami gończemi i aresztował go.

W chwili aresztowania chciał Rauchmann zrobić użytek z trucizny którą nosił przy sobie. Detektyw policyjny, który o tem wiedział, nie pozwolił mu udać się do wychodka i w ten sposób zapobiegł samobójstwu.

Rauchmanna sprowadzą w tych dniach do Lwowa i niebawem stanie on przed sądem przysięgłych.

Antysemityzm w Wiedniu. Skandale Schönererowskie, występy Türcka w Radzie Państwa, popularność tej garstki antysemickich posłów, na których czele stoi Schönerer i Türck, nieustanne wybuchy antysemityzmu w Radzie miejskiej wiedeńskiej, wszystko to świadczy, że nad modrym Dunajem budzi się w łonie społeczeństwa prąd, z którym wypadnie z czasem się liczyć i który dla mieszkańców tamecznych stworzy kiedyś sporo kłopotu.

Przyczynę tego szybkiego rozwijania się antysemityzmu w Wiedniu tłumaczy nam następujący list z Wiednia zamieszczony w *Schlesische Ztg.* List ten opiewa;

„Nienawiść do żydów u mieszkańców Wiednia zakorzeniła się już tak dalece, że w czasie niezbyt dalekim można z tego powodu obawiać się rzeczy najgorszych. Antisemityzm w Niemczech Północnych ma znacznie mniejszą podstawę. Według spisu ludności z r. 1881, w Berlinie na 70 mieszkańców przypadał jeden żyd, mimo to, że od r. 1861 liczba ich wzrosła z 18 953 na 53.949, podczas gdy w Wiedniu w r. 1857 przypadał jeden żyd na 70 mieszkańców, w r. 1869 już tylko na 15, a w r. 1880 nawet na 9 do 10 mieszkańców. Po kramołach antiżydowskich w Rosji, Rumunji i w Węgrzech, które miały miejsce dopiero po spisie ludności w r. 1880, a wskutek których tysiące owych żydów szukały schronienia w Przedlitawji, a głównie w Wiedniu, stosunek ludności żydowskiej do chrześcjańskiej w stolicy austrjackiej nie jest chyba innym, jak w Królestwie Polskiem, to znaczy, że na 7 mieszkańców przypada zapewne jeden żyd. Z 95.055 żydów, których w r. 1880 naliczono w Austrji niższej, mieszkało 73.222 czyli 77% w Wiedniu, podczas gdy ludność Wiednia reprezentuje 31% ogólnej liczby ludności Austrji niższej. Na każdego nieuprzedzonego badacza nagiego faktu, chociażby on nawet nie był antisemitą, bliższy rzut oka na stosunki liczbowe warstw ludności tutejszej wywiera iście przerażające wrażenie.

„Pominąwszy tę okoliczność, że znaczna część handlu i giełda spoczywają w ręku żydów, i że pośród 60.000 handlarzy jest 50 prct. żydów, wcisnęli się oni do wszystkich instytucyj społecznych i państwowych i w sądach są nawet sędziami chrześcian. Prasa wiedeńska, prócz dwu lub trzech pism, jest żydowską. Pomiędzy 370 osobami, zameldowanemi w Austrji niższej, jako z zawodu „literaci", jest tylko 45 nieżydowskich. Pomiędzy 2.140 adwokatami w Austrji niższej jest 1.024 czyli 47 proct., pomiędzy 660 adwokatami w Wiedniu jest 350, czyli 53 prct., pomiędzy 360 kandydatami na adwokatów jest nawet 310 czyli 86 prct żydów. W półroczu zimowem r. 1884/85 było na uniwersytecie wiedeńskim 3.173 chrześcjan a 2.085 żydów, na akademji technicznej 591 chrześcian a 303 żydów, w dziesięciu gimnazjach wiedeńskich 2.247 chrześcjan a 1.174 żydów, w 24 innych szkołach średnich 4.888 chrześcjan a 2.262 żydów, 146 szkołach ludowych i miejskich 64.740 chrześcjan a 10.110 żydów. Panowie „liberalni" szerzą przekonanie, jakoby żydzi w dłuższem pożyciu z chrześcjanami pozbywali się swych złych właściwości i asymilowali się zupełnie z chrześcjanami To przesąd, a widać to najlepiej tu w Wiedniu. Tam, gdzie zdobyli stanowiska wpływowe, nie stają się równouprawionymi członkami społeczeństwa chrześcjańskiego, nie uważają się choćby nawet tylko powierzchownie za cząstkę narodu, wśród którego żyją, lecz za żydów, mających pomiędzy sobą wspólność interesów i zatrzymujących właściwości narodowe po kolenia żydowskiego. Widzimy to przecież we właściwościach żydów austrjackich, a szczególniej wiedeńskich i węgierskich w obsyłaniu wystawy wiedeńskiej. Mimo to, że państwo odmawia udziału w tej wystawie, żydzi nasi chcą ją obesłać w porozumieniu z żydami paryskimi. Wśród całej ludności chrześcjańskiej w Wiedniu, nawet wśród części jej pozornie filosemickiej, panuje zdecydowana, chociaż tu i owdzie pokrywana nienawiść do żydów, objawiająca się także we wszystkich warstwach sfer urzędowych, a także i u członków policji wykonawczej, którzy wcale się z tem nie kryją i t. d."

Tak pisze korespondent *Schles. Ztg.*, a osoby obeznane z wiedeńskiemi stosunkami wiedzą, że istotnie nie przesadza.

Rzecz to wiadoma, że warunki kredytu państwowego w Austrji a w wyższym stopniu w Węgrzech, zupełnie są zależne od żydów, a wpływ ich na decydujące sfery państwowe jest znaczny. Jak wpływ ten zaś bywa rozkładowy, tego dowodzą między innemi procesy, prowadzone w ostatnich dniach w Wiedniu przeciwko znacznym firmom żydowskim za defreudacje celne i przekupywanie urzędników celnych. Jeden z oskarżonych oświadczył najspokojniej, że istotnie dopuszczał się rozmyślnie defraudacyj celnych, aby ułatwić sobie konkurencję. Przy takiej konkurencji trudno się ostać handlowi uczciwemu.

Ze sportu. Wczorajszą wzmiankę o wyścigach warszawskich na których koń hr. J. Potockiego „Gypsy" popisuje się z powodzeniem niezwykłem w rzędzie koni z najlepszych stajen w Królestwie, musimy uzupełnić doniesieniem, iż trzeciego dnia wyścigów na polu mokotowskiem drugi koń hr. J. Potockiego, ogier 3 letni „Bosco", po Przedświcie i Bebe, wziął udział w pierwszym biegu o nagrodę tzw. „czerwcową" 500 zł. Obok „Boska" startowały: ogier „Kogut" J. U. Niemcewicza, klacz „Archiduchesse" W. Mysyrowicza, klacz „Comtesse-Teresina" hr. J. Ledóchowskiego i ogier „Gracjan" L. Grabowskiego Rozpoczął gonitwę i stanął do mety „Gracyan," przynosząc właścicielowi nagrody 553 rub. 50 kop., drugim był „Bosco" i wziął nagrodę 463 rub. 50 kop.

Na wyścigach w Paryżu d. 10 b. m., w biegu o wielką nagrodę miasta Paryża, zwyciężył koń francuzki „Stuart." Drugi u mety stanął koń angielski „Cramberry"; trzecim był koń francuski „St. Gall".

— **Wściekły kot.** Z Tulonu donoszą: Szef szwadronu artylerji okrętowej w Tulonie M. Ollivier posiadał kota, który przed kilkunastu dniami okazał symptomata wodowstrętu. Kota oddano pod obserwację, a weterynarz orzekł, że kot jest stanowczo wściekły. Kiedy syn pana Olliviera usłyszał to orzeczenie i przypomiał sobie że tydzień przedtem ten sam kot go ukąsił, dostał napadu wodowstrętu i w tejże chwili ukąsił matkę, która spieszyła mu z pomocą.

Matkę i syna odwieziono natychmiast do istytutu Pasteuar w Paryżu.

Tem lepiej.

— Zostaw mnie pan w spokoju. Pan byłby ostatni którego mogłabym kochać.

— Tem lepiej, ja też nie życzę sobie by pani po mnie jeszcze innego kochała.

Literatura i Sztuka.

* **Echa** *muzycznego, teatraln. i artystycznego* nr. 245 zawiera: Kazimierz Alchimowicz (z portretem) przez Wojciecha Gersona. — Wiersz przez Wiktora Gomulickiego. — Ideał opery w innem oświetleniu, przez Jana Kleczyńskiego. — Emil Zola, przez Witolda Janickiego. — Pośmiertna wędrówka genjuszów muzycznych, przez Aleksandra Polińskiego. — Z kulą u nogi (opowieść) przez Teodora Jeske Choińskiego. — Nadreński festival muzyczny przez J. P. — Nieśmiertelny, romans przez Alfonsa Daudeta. — Z ławeczki, feljeton przez Mefista. — Romeo i Julja, przez J. Kl. — Wrażenia dyletanta po przedstawieniu Romea i Julji, przez Dyletanta. — Teatr ruski. — Kronika.

* **Z teatru.** Wczoraj wystąpiła pani Aleksandra Lüde z wielkiem powodzeniem w roli Matyldy w komedji Zalewskiego „Małżeństwo Apfel."

Jutro (w piątek) ostatni występ pani Lüde. — Warszawska artystka wystąpi w trzech jednoaktówkach z francuskiego, w których podjęte przez nią role dają pole do świetnego popisu w charakterze „zimnych kokietek" pełnych salonowej elegancji i francuskiego dowcipu A mianowicie są to komedje „Pomyłka" p. Morin, dalej „Pałacyk" Halévy'ego i „Mąż pieszczony" bezimiennego autora.

W sobotę przedstawienia teatralnego nie będzie.

Część ekonomiczna.

= **Choroby stadne.** Od dnia 26 maja do 3 czerwca rb. sprawdzono w kraju z chorób zaraźliwych zwierzęcych:

Zarazę pyskową i racicową u bydła w Brodkach, Szczercu, Jaryczowie nowym, Skniłówku, Winnikach, Barszczowicach, Czyżykowie (pow. lwowski), w Magdalówce (pow. tarnopolski).

Zarazę płucną w Dąrbówce ad Kawęczyn (pow. mielecki).

Zarazę wąglikową w Krawczym Kącie i w Lubieńcach (powiat stryjski).

Świerzb u koni w Wybudowie (p. brzeżański), i w Pistyniu (p. kossowski).

W powyższym okresie czasu z chorób zaraźliwych zwierzęcych wygasły:

Zaraza pyskowa i racicowa u bydła w Wołkowcach (powiat borszczowski).

Otręt u klaczy rozpłodowych w Krukienicach (pow. mościski), w Niemczynie, Skomorochach i Bursztynie (pow. rohatyński).

Świerzb u koni w Chliwowie (p. skałacki).

Zaraza wąglikowa w Bursztynie (pow. rohatyński) i w Prokowcach (pow. żydaczowski).

= **Na kolei Karola Ludwika** wynosiły dochody w czasie od 1 stycznia do 31 maja rb. ze wszystkich jej linij 2,983.610 zł. 50 ct., gdy zaś w tym samym okresie roku zeszłego wynosiły 2,973.655 zł. 24 ct., były przeto wyższemi w roku bieżącym o zł. 9955 26.

Nieznaczne to podwyższenie dochodów zawdzięcza kolej Karola Ludwika wyższym w roku bieżącym dochodom z linji Lwów Kraków.

= **O dalszym przebiegu** spekulacji zwyżkowej w kukurudzy donoszą wiedeńskie dzienniki, że konsorcjum—wygrywając ostatniego atuta, — aby zmusić oporną konsumcję nietylko przyjmuje przedterminowe zgłoszenia, ale zakupuje wszelki gotowy towar, pojawiający się na wiedeńskim targu. Chce ono przez to zmusić gospodarzy tuczących bydło na suchej karmie, aby zrzekłszy się zakupna jęczmienia, który od pewnego czasu znacznie podrożał i którego niewielkie ilości są już obecnie do zakupna, zdecydowali się zakupować kukurudzę po cenach, jakie oznaczy konsorcjum.

Niedługo już czekać, a objawią się następstwa tej ciekawej walki, i albo nie wystarczą konsorcjalne fundusze na dalszą obronę cen kukurudzy, albo konsumcja ogłodzona podda się na łaskę i niełaskę.

= **Pierwsze zwykłe ogólne zgromadzenie** akcjonarjuszów kolei wicynalnych kołomyjskich odbyło się 11 bm. w Wiedniu pod przewodnictwem Sergjusza ks. Radziwiłła w obecności 23 akcjonarjuszów.

Przyjęto do wiadomości akt kolaudacyjny budowy i uchwalono absolutorjum dla rady zawiadowczej. Przyjęto następnie wniosek podniesienia kapitału akcyjnego o 200.000 zł. na uregulowanie długu bieżącego, wyznaczono 5 pct. dywidendy od akcyj za rok 1887, a w miejsce zmarłego członka rady nadzorczej A. Pogatschera wybrano Maksymiljana Luschkę de Sellheim.

= **Rady gospodarskie.** Przy zakupowaniu dużych kur, chcąc się przekonać czy są młode, należy zwrócić uwagę na tak zwane ostrogi przy nogach. — Kura z długiemi ostrogami jest stara.

Równie ważną rolę przy rozpoznawaniu gra kolor nóg. Żółty, prawie pomarańczowy, jest niezawodną oznaką, że kura jest zupełnie młoda; jaśniejszy żółty bywa u kur dość jeszcze młodych; ale im więcej kolor ten zbliża się do szarego, szarogranatowego i prawie czarnego, tem kura jest starszą.

Stare gołębie mają nóżki zupełnie czerwone, a młode o wiele bledsze i delikatny żółtawy puszek pomiędzy innemi piórkami.

U bitych gęsi trzeba w skórę na piersiach wcisnąć główkę od szpilki lub paznokieć; jeżeli łatwo skórę przebija, znakiem jest że ptak młody.

Stare kuropatwy poznaje się po szarych dzióbkach i ciemnych nóżkach, młode mają dzióbki czarniejsze i nóżki żółtawe.

U zajęcy w skórze naddziera się uszy, łatwe do rozdarcia są dowodem ich młodości.

= **Sposób ocalania owoców robaczliwych.** W *Ogrodniku polskim*, wychodzącym w Warszawie, czytamy:

Często bardzo słyszeć się dają skargi na opadanie owoców, spowodowane przez robaki szkodliwe, nadgryzające owoc młody i wprowadzające się do jego wnętrza. Niektóre osoby uważają jednakże ten napad szkodników za użyteczny dla drzewa, gdyż owoce robaczliwe opadają, pozostałe zaś mogą dojść do pożądanego rozwoju, jakiego z powodu nadmiaru owoców na drzewie dosięgnąćby nie mogły.

Jeden z amatorów ogrodników, mając wiele bardzo owoców nadgryzionych przez robaki, chciał przekonać się, czy nie ma sposobu ocalenia podobnych owoców. Uważając je za stracone, zwykłym nożem ogrodniczym wyrznął część robaczliwą i wyrzucił robaka gnieżdżącego się w środku.

Dziura w gruszce jak ziarnko grochu już niekiedy wystarczała do pozbycia się robaka, niekiedy trzeba było wycinać otwór jak orzech i więcej nawet. Zdawało się, że gruszki nie wytrzymają tej operacji; ale sprawozdawca z wielkiem zdziwieniem zauważył, że owoce te rosły dalej i zabliźniały swoje rany, tak że z trzech maleńkich drzew (*catillac*) zebrano kopę dużych i pięknych gruszek po 400 do 600 gramów, z których prawie trzecia część podlegała wyrzynaniu robaka. Dinszesy, William, Beurée magnifique i inne podobie zachęcające wydały rezultaty, tak że zbiór gruszek w skutek kuracji ocalał.

Pogodny czas bardzo sprzyja zabliźnianiu się ran owoców, a także uważać należy, aly robak zbyt nie rozgościł się w owocu, gdyż duża rana zmienia bardzo kształt jego, podczas gdy wycięcie małej dziurki (w gruszce na przykład) goi się tak dokładnie, że prawie nie widać okaleczenia po dojrzeniu owocu. — Niektóre gruszki, powtórnie nawiedzone przez robaki, po wycięciu ponownem ocalały i doszły do zwykłej wielkości.

Sposób ten nie może wprawdzie zastosowanym być w sadzie, odda jednak usługi amatorom małych ogródków, a co najważniejsza, ogrodnikom mającym małe szczepy i niecierpliwie wyglądającym pierwszych owoców w celu determinowania lub sprawdzenia żądanej odmiany.

Wiedeń 12 czerwca.

Z chwilą pogorszenia się choroby cesarza Fryderyka giełda tutejsza znalazła się w większej jak zwykle zależności od giełdy berlińskiej. Każde więc poruszenie się wskazówek na tamecznej giełdzie śledzono tutaj z baczną oględnością i spekulacja tutejsza niewolniczo trzyma się od wczoraj notowań berlińskich.

W mdłem przeto usposobieniu rozpoczęto dziś poranną giełdę, gdyż wiadomości z Poczdamu brzmiały niepomyślnie, a wyzyskiwała je kontrmina, rzucając alarmy. Obnoszono wiadomość, że zawezwanie do łoża chorego cesarza trzech berlińskich profesorów jest oznaką groźnego stanu choroby, a stwierdzały to poniekąd doniesienia o utrudnionych warunkach połykania stałych pokarmów i trudnościach w oddechaniu, które od niedzieli pojawiły się u cesarza.

Wskutek tego i z powodu większej podaży w kredytach i złotej rencie węgierskiej słabły do południa kursa z każdym kwadransem, a dopiero południowe lepsze notowania berlińskie, zaś szczególnie silne podtrzymywania przez tameczną giełdę efektów rosyjskich — co zawsze branem bywa u nas za symptomat pokojowy — powstrzymało ogólną zniżkę, lecz wobec braku ożywienia i silniejszej tendencji na rynkach zachodnich nie mogło sprowadzić reprizy.

Zamknięto więc dzisiejsze transakcje w zupełnym braku ożywienia, w spadku kursów i w podrożeniu eskontu.

Z papierów bankowych najwięcej ucierpiały oba kredyty, mniej länderbanki, a przeciwnie anglosy, od kilku dni będąc w repryzie, nietylko obroniły swój wczorajszy kurs, ale zdobyły sobie nieznaczną premję.

W materjale transportowym mało było transakcyj, a i te, jakie zawierano, szły po zniżonych kursach. Kolej Karola Ludwika, mimo korzystniejszych dochodów z ostatniego tygodnia, i kolej Czerniowiecka cofnęły się o pół guldena, a jedynie akcje żeglugi parowej na Dunaju, wobec zwiększonych transportów zboża, a szczególnie kukurudzy, zyskały awanse.

W papierach przemysłowych kursa chwiały się, a wszystkie renty straciły dziś nieznaczne kwoty.

Ostatecznie notowano:

Kredyty austrjackie 284·50, węgierskie 282·50, anglobanki 108·25, uniony 200·75, bankvereiny 90·60, laenderbanki 213·—, ludwiki 201·75, czerniowieckie 213·75, renta papierowa 79·30, srebrna 80·75, złota austrjacka 109·90, 5% papierowa 94·20, złota węgierska 99·10, 5% papierowa 86·90. Rubel 110¼—1·10½.

Telegramy „Przeglądu".

Karlsbad 14 czerwca. Za spokój duszy ś.p. Władysława hr. Badeniego odprawiono dziś w Karlsbadzie z inicjatywy bawiących tu posłów na sejm krajowy solenne nabożeństwo żałobne, w którem uczestniczyli licznie zebrani rodacy.

Peszt 14 czerwca. W komisji dla spraw wojskowych w delegacji węgierskiej, w odpowiedzi na rozmaite interpelacje, oświadczył minister wojny, że nie ma wcale zamiaru przeprowadzenia nowej organizacji armji, a mają być tylko przygotowane na wypadek mobilizacji niektóre nowe formacje przez wystawienie kadr już w czasie pokoju. Idzie tylko o to, ażeby istniejące już oddawna na papierze rozporządzenia wprowadzić w praktykę. Pewne wydatki, należące właściwie do ordinarjum, preliminowano dlatego w dziale extraordinarium, ponieważ nikt nie może powiedzieć, jakie stosunki będą panowały z końcem r. 1889, kiedy być może już nie będzie konieczności dalszego rozszerzania zarządzeń w mowie będących. Podniesienie liczbowe stanu oficerskiego jest konieczne już teraz z powodu bowiem, że bardzo mały procent oficerów zawodowych wypada na niższe oddziały wojska, przeto w krótkim czasie tych kilku dni, w ciągu których mobilizacja musi być przeprowadzona, podwyższenia liczby oficerów dokonać nie będzie można. Potrzeba więc już teraz starać się o to. Minister zapewnia, że stan oficerski będzie podniesiony tylko do liczby istotnie potrzebnej.

Co do oszczędności w dziale administracyjnym, tudzież co do decentralizacji systemu dostaw, to badania nie zostały jeszcze ukończone. Minister zapewnia, że zarówno jak jego poprzednik starać się będzie o to, ażeby gotowość armji do boju pogodzić z finansowem położeniem państwa.

Na zapytanie Wahrmanna odpowiada minister wojny, że mobilizację nawet bez nowych zarządzeń możnaby w każdej chwili przeprowadzić, atoli prawidłowy rozwój siły zbrojnej nakłada na administrację wojskową coraz to nowe obowiązki.

W toku rozprawy nad odpowiedziami na zeszłoroczne rezolucje wyraża referent komisji życzenie, ażeby język węgierski w armji był więcej używany, jakkolwiek musi skonstatować postęp na tem polu.

Minister wojny oświadcza, że sprawa jasnego określenia wzajemnego stosunku obu języków, niemieckiego i węgierskiego, bardzo mu na sercu leży, że pragnie ażeby jak największa liczba oficerów była autoramentu węgierskiego, że jednak należy także życzyć sobie, ażeby i Węgrzy uczyli się języka służbowego. Pod tym względem w szkołach kadeckich zaznaczył się wielki postęp. Przy zamierzonej rewizji planu naukowego okaże się prawdopodobnie, że większa liczba godzin pozostanie dla języka węgierskiego.

Wywiązała się z kolei długa rozprawa nad rezolucją dotyczącą decentralizacji. Minister wojny oświadczył, że sprawa ta jest przedmiotem nadzwyczaj dokładnych badań. W dzisiejszej sytuacji rząd nie może zgodzić się na zasadniczą zmianę systemu dostaw. Jak tylko stosunki na to pozwolą, rząd przedłoży pozytywne wnioski.

Szef sekcyjny Lambert podaje do wiadomości, że kroki przedwstępne do wypowiedzenia obowiązujących kontraktów zastanowiono w grudniu r. z., ponieważ okazała się konieczność trzymania się dotychczasowych kontraktów. Z czasem sprawa ta po wzajemnem porozumieniu się obu rządów zostanie załatwiona.

Ostatecznie wybrała komisja z łona swego komitet ściślejszy, któremu minister udzieli odnośnych szczegółowych wskazówek.

Minister wojny motywuje następnie szczegółowo podwyższenie wydatku o 1,400 000 zł. bezwarunkową koniecznością dalszego rozwoju organizacji wojskowej. Minister podaje liczbę oficerów potrzebną na wypadek mobilizacji. Także i rezerwowi oficerowie dostarczą większego kontyngentu. Minister spodziewa się, że w tym tytule budżetu nie zajdzie prędko potrzeba stawiania nowych żądań. O pomnożeniu kawalerji nie ma mowy; sztaby dywizyjne będą urządzone przy istniejących już dywizjach.

Prezydent ministrów Tisza zwraca uwagę mówców poprzednich, że wprawdzie dawniejszy minister wojny oświadczył, że stan zbrojny armji nie był jeszcze nigdy tak kompletny jak wówczas, nie powiedział jednak tego, że już niczego więcej nie będzie potrzeba do rozwoju armji. Że między zapatrywaniami obu ministrów wojny nie zachodzi tedy żadna różnica, to wynika już ztąd iż przedłożony właśnie preliminarz wydatków sporządzony został przez poprzedniego ministra wojny. Nowe rozporządzenia znajdują naturalne uzasadnienie w dbałości o dalszy rozwój armji. Skoro wszyscy możliwi nieprzyjaciele starają się o to, ażeby mieć możność jak najszybszego zmobilizowania wojsk, to ztąd wynika i dla nas obowiązek stworzenia spotęgowanej w tym względzie szybkości.

Po przemówieniu Iwanka w duchu Tiszy odroczono dalsze rozprawy do jutrzejszego posiedzenia wieczornego. Komisja budżetowa delegacji węgierskiej przyjęła preliminarze ministerjum finansów co do Izby Obrachunkowej i dochodów cłowych bez zmiany.

Peszt 14 czerwca. Komisja budżetowa Izby deputowanych przyjęła uchwaloną przez Izbę wyższą modyfikccje w projekcie do ustawy o podatku wódczanym.

Berlin 14 czerwca. *Buletyn urzędowy. Stan zdrowia cesarza od wczoraj wieczór znacznie się pogorszył. Siły raptownie spadają.*

Serajewo 14 czerwca. Następca tronu z małżonką zwiedził rozmaite kościoły, meczety tudzież inne osobliwości miasta. Podczas odwiedzin meczetu Gazi Chouresbeg, gdzie zgromadzili się wszyscy mahometanie, zmówił ulem Reisul modlitwę i podziękował za łaskawą opiekę nad mahometanami.

Podczas obiadu, na który byli zaproszeni zagraniczni konsulowie, wzniósł Arcyksiążę z zapałem przyjęty toast na cześć Najj. Pana.

Wieczorem odbył się korowód z pochodniami, w którym wzięło udział całe obywatelstwo miasta.

Iluminacja wypadła świetnie.

Madryt 14 czerwca. Przesilenie gabinetowe nastąpiło. Królowa przyjęła dymisję gabinetu i poleciła Sagaście utworzenie nowego

Nadesłane.

Do sprzedania realność pod l. 11. ulica Kopernika z gruntem pod budowę, wchodząca całem swem położeniem w park JE. hr. Potockiego.

Zgłoszenia przyjmuje adwokat Popiel, we Lwowie.

Przyjechali do Lwowa

dnia 14 czerwca 1888.

Hotel Angielski: W. Lekczyński z Rymanowa. K. Potworowski z Uścia. A. Ziembicki z Jaworowa. B. Kapliński z Korczowa. K. Popowicz z Żołtaniec.

Kursa giełdowe.

Wiedeń 14 czerwca, godzina 10 minut 65. — Kredyty austr. 282.40 — kredyty węgierskie 280·75 — renta wspólna pap. 79 — złota węgierska 98 60 — länderbanki 212.50 — anglobanki 107.25 — uniony 198.90 — Staatsbahny 225.50 — Karola-Ludwika 201.25 Czerniowieckie 212·50 — Vereiny 90·— — 5% węg. pap. ren. 86 45.

Z zbożowych targów

14 czerwca	Lwów	Tarnopol	Podwołoczyska	Czerniowce
Pszenica	6.30—7.—	6.20—6.85	6.45—6.95	6.30—7.—
Żyto	4.30 4.90	4.20—4.75	4.05—4.50	4.30—4.80
Jęczmień	4.——5.50	4.——4.75	3.75—4.95	4.20—5.80
Owies	4.15—4.75	4.30—4.70	4.60—4.—	3.60—3.90
Groch	4.— 10.—	4.— 9.50	3.75 9.—	4.40 9.—
Wyka	4.50 5.—	4.30—4.75	4.50—5.—	4.10—4.80
Rzepak	9.— 9.60	9.— 9.55	9.— 9.50	9.— 9.40
Lnianka	—.—.—	—.—.—	—.—.—	—.—.—
Konic. czer.	24.—35.—	17.—36.—	28.—33.—	18.—34.—
Konic. biała	20.—30.—	30.—36.—	30.—36.—	—.—.—
Konic. szwed	30.—36.—	30.—35.—	28.—35.—	—.—.—

wszystko za 100 kilo netto bez worka.

Chmiel za 56 kilo loco Lwów zł. 15—55 nominalnie.
Nowy chmiel od — do — złr. za 56 kilogramów.
Okowita za 10·000 litr. proc. Lwów loco —·— do —.—
Wiedeń 14 czerwca. Pszenica 7·56 do .—·— na jesień —·— do —·—. Żyto 6 12 do —·—, na jesień 6·40 do —·— Owies 5·52 do —·—, na jesień 5·81 do —·—. Okowita 26·12— do 26·37.— **Peszt** 14 czerwca. Pszenica 7·19 do —·—, na jesień 7·51 do —·— Żyto —·— do —·—, na jesień 5·42 do —·—. Owies ·— do —·—, na jesień 5·46 do —.—. Okowita 25·50 do 26·—. **Berlin** 14 czerwca. Pszenica 167 — do —·—, na jesień 170 —, Żyto 129 — do 132 — na jesień —·—. Owies 119·—, do —·— na jesień 120·— Okowita 33·80 do —.—, na jesień 34·25

Lwów. Z Izby handlowej 14 czerwca 1888.

	płacą	żądają
1. Akcje za sztukę. bez kuponu bieżącego bez dywidendy:		
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. m. k.	200 —	203 —
„ lwow.-czer-jass. 200 zł. w. a.	211 75	215 25
Banku hip. galic. 200 zł. w. a.	283 —	287 —
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	— —	216 —
2. Listy zastawne za 100 złr		
Banku hyp. galic. 5 prc. w. n.	98 20	99 30
„ „ „ 5 „ 10% pr.	100 50	101 80
Banku krajowego 4½% w. a.	92 —	93 —
Tow. kred. galic. 5 „ „ „	100 60	101 75
„ „ „ 4 „ „ „	— —	95 —
„ „ „ 5 „ „ „	100 60	101 75
„ „ „ 4 „ „ „	— —	92 —
„ „ „ 4½% „ „	93 40	94 40
„ „ „ 4% „ „	— —	91 —
3. Listy dłużne za 100 złr.		
G. Z. kr. wł. (d. 6%) 3% w likw.	— —	54 —
„ „ „ „ (d. 5%) 2½% „	— —	48 —
4. Obligi za 100 złr.		
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	102 55	103 40
Kom. banku kraj. 5 prc w. a. I. em.	99 50	101 —
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 prc. w. a.	— —	105 —
„ „ „ 1883 4½% „	89 50	90 60
5. Losy.		
Losy miasta Krakowa	— —	20 50
„ „ Stanisławowa	— —	35 50
6. Monety.		
Dukat holenderski	5.85	5.95
Dukat cesarski	5.89	5.99
Napoleondor	9.98	10.08
Półimperjał rosyjski	10.32	10.42
Rubel rosyjski srebrny	1·40	1·50
„ „ papierowy	1·09—	1·11—
100 marek niemieckich	61.80	62.40—

Pociągi kolejowe.

podług zegaru lwowskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z KRAKOWA: o godz. 8 m. 50 rano poc. osob.
„ 4 „ 8 po poł. „ kurj.
„ 7 „ 15 wieczór „ mięs.
„ 9 „ 28 „ „ osob.

Z PODWOŁOCZYSK (na dworzec główny lwowski):
o godz. 3 m. 15 w nocy poc. mięs.
„ 2 „ 20 po poł. „ kurj.
„ 7 „ — wieczór „ mięs.

Z PODWOŁOCZYSK: (na dworzec Podzamcze):
o godz. 2 m. 38 w nocy poc. mięs.
„ 2 „ 8 po poł. „ kurj.
„ 6 „ 22 wieczór „ mięs.

ZE STRYJA o godz. 1 m. 35 w nocy poc. osob.
„ 8 „ 26 rano „ „
„ 8 „ 40 po poł. „ „

Z CZERNIOWIEC: o godz. 6 m. 40 rano poc. mięs.
„ 8 „ — wieczór „ posp.
„ 11 „ 6 „ „ mięs.

Z BEŁZCA: o godz. 5 m. 58 po poł. poc. mięs.

57)

Salon i kulisy.

Z angielskiego przetłómaczyła

N. Krzyżanowska.

(Ciąg dalszy).

— Pociąg znacznemu uległ widać opóźnieniu?

— Aha, zauważyłaś to Stello?.. Musiałaś więc myśleć o mnie... Jakże się cieszę!... Czekając tu na ciebie, przypuszczałem, że niechętnie zostanę powitanym.

— Cóż za posądzenie! — zaprzeczyła słodko.

— Strój twój dopiero wytłumaczył mi rzecz całą — żartował dalej. — Łudziłem się na razie, że został dla mnie, a nie dla lady Róży, przywdziany.

— A podoba ci się?

— Przepyszny.

— W takim razie wyznaję, że go na twoję cześć włożyłam.

— Pochlebnisia!

Nastąpiła krótka cisza. Baronet zapatrzony w ognisko i pieszczący delikatnie aksamitną rączkę narzeczonej, pierwszy ją przerwał:

— Widziałem się ze stryjem Normanem, najdroższa — mówił łagodnie. — Hrabia uprzedził mnie, że masz coś...

— Czyś ty pił herbatę? — przerwała nagle.

Lord Keith spojrzał na nią ze zdumieniem, a podziękowawszy za troskliwość, zamilkł, widząc że pragnie zmienić przedmiot rozmowy.

— Jak mu to powiedzieć?... jak powiedzieć?— myślała Stella równocześnie, zaciskając nerwowo ręce i patrząc z boleścią w ognisko, jak gdyby ono mogło jej dać siły lub sposób do wyjścia z rozpaczliwego położenia. Nie, nie była zdolna tego uczynić.

Napróżno kilkakrotnie otwierała usta. Dziwne uczucie ściskało ją za gardło, mgła czerwona przesuwała się przed oczyma. Wysoka szlachetność lorda Elsdalu, dobroć z jaką przycisnąwszy ją do piersi drżącą rękę oparł na głowie jej i powtarzał, że bez względu na pochodzenie swe pozostanie dla niego zawsze ukochaną córką; tkliwość serdeczna orzeźwiła ją i dodała na razie otuchy. Tu jednak, wobec lorda Keith, czuła się bezsilną napowrót... odwaga opuściła ją zupełnie.

— Przebacz mi, Stello, że niezbyt wesołym jestem dziś towarzyszem. Wina to jednak znużenia — mówił baronet. — Lord Cheveley dał mi tyle do ciebie poleceń, iż mógłbym prawie być zazdrosnym o niego.

— Naprawdę? — pytała, nie pojmując nawet dobrze znaczenia słów baroneta.

— Na szczęście głęboka ma wiara w ciebie nie pozwala na to.

— Więc tak ślepo mi ufasz? — podjęła z wymuszonym uśmiechem.

— Zupełnie i nieograniczenie; ty wiesz o tem, ukochana moja.

— W takim razie postaram się usprawiedliwić tę wiarę — wyrzekła z mocą.

I ukrywszy twarz w dłoniach, próbowała zebrać myśli, zastanowić się w jaki sposób powtórzyć mu straszną tajemnicę powierzoną jej niedawno przez zmarłego, który na tem samem miejscu śmierć wkrótce poniósł; jak wykazać prawdę mającą też dzielić ich na zawsze. Przez jej palce grube łzy się potoczyły.

— Moje dziecko ukochane — mówił lord Keith ze współczuciem — bądź pewną, że mi serdecznie żal ciebie.

Podniosła załzawione źrenice z wyrazem rzewnego błagania.

— Przebacz, że cię zasmucam, Ewerardzie — mówiła. — Nie gniewaj się na mnie i miej cierpliwość wysłuchać wszystko, co ci wyznać muszę.

Lord Keith zaniepokoił się widokiem jej cierpienia.

— Stello, skoro ci to przykrość sprawia, przestań, proszę. Opowiesz mi to wieczorem, jutro może, kiedy zechcesz wreszcie, byle nie w tej chwili.

— Przeciwnie, pozwól mi mówić teraz, dopóki mam odwagę odkryć ci wszystko. Ach, to tak trudno, tak trudno, iż nie wiem, jak zacząć — mówiła, przyciskając rączki do tętniących skroni. — Opowiem może bezładnie, bezsensownie, ale błagam, nie przerywaj; pozwól mi ohydę tę w jakikolwiek sposób z serca zrzucić.

Zawahała się, poczem zaczęła, bez związku na pozór:

— Czy pamiętasz, Ewerardzie, gdy podczas pobytu we Włoszech, przyszedłeś raz do nas w Rzymie i zastałeś mię czytającą przy ognisku?

— I łzami zalaną? Przypominam sobie doskonale, Stello. Miałaś na szyi wielkie etruskie perły i, z zapłakaną twarzyczką, stokroć mi się piękniejszą wydałaś.

— Chciałeś wiedzieć, co mnie tak rozrzewniło, a ja odmówiłam odpowiedzi. Objaśnienie to dziś dopiero dać mogę.

— I cóż to było, moje dziecię? — pytał, wzruszony mimowoli bolesną jej powagą

— Utwór Roberta Buchanana, którego zapewne nigdy nie czytałeś — odparła, wlepiając w ogień zmącone swe źrenice. — Poemat p. t. *Joanna Lewson*.

— Roberta Buchanana? Nie, nie znam jego poezji. Czy rzecz to tak wzruszająca?

— Och! gdybym ją dziś czytała, serce by mi pękło, umarłabym chyba!

Główka Stelli opadła na piersi, głos złamał się nagle.

— A zatem, nie pozwolę ci jej dotknąć nawet.

— Są to dzieje trzech sióstr, żyjących razem w starym, ponurym domu — mówiła Stella ze sztucznym spokojem, blade jej rysy pokrywającym. — Ognisko to wstrętnem było, nietyle dla swego ubóstwa, ile przez straszną surowość starszych sióstr, które, szczycąc się dewocją swą, wyznawały raczej religją nienawiści, niż miłości, i w imię nabożeństwa, wyganiały z domu śmiech, kwiaty, słońce, wszystko co świat miłym czyniło. Najmłodsza tylko, Joanna, wyróżniała się od nich. Piękniejsza, i nie tak silnym obdarzona charakterem, tęskniła do świata, do ludzi, do kogoś, ktoby, kochany, ją kochał nawzajem. Przyszedł nareszcie dzień wymarzonego szczęścia, i biedne dziewczę...

— Dla czego biedne, Stello?

— Bo, zamiast gwiazdy świetlanej, przypadł jej w udziale fałszywy blask tylko. Pod ujmującą postacią spotkała okrutnego, nikczemnego człowieka. i dla niego dom opuściła.

— Uciekła! Jakże stare panny zgorszyć się musiały.

— Stały się bardziej jeszcze zimnemi i surowemi. Odtąd siostra umarłą była dla nich! Nie wspomniały nawet imienia jej; aż w rok, czy dwa później, podczas dżdżystej nocy zimowej, powróciwszy, zastukała do drzwi ojczystego domu.

Głos Stelli drżał boleśnie, po licach jej dwie łzy spłynęły, na myśl, iż matka jej tak samo wracała pod dach rodzinny, że konała prawie u jego progu.

— Porzuć dalszy ciąg, Stello! Po co rozdrażniać się historją, która widoczną przykrość ci sprawia?

(C. d. n.)

Anonse PP. Abonentów.

(Które każdy abonent ma przywilej umieszczać bezpłatnie w objętości 12 wierszy miesięcznie.)

Realność składająca się z 43 morgów dobrej gleby razem z budynkiem mieszkalnym i budynkami gospodarczymi jest w Dunajowie o 2 mile od Złoczowa natychmiast do sprzedania. Cena stała 5 tysięcy zł. w. a. Bliższych wiadomości i porozumienia się zasięgnąć można wprost na miejscu u właściciela.

„Dwa domy, jeden o 5 pokojach i kuchni, drugi o 4 pokojach i kuchni, 15 morgów gruntu ornego, 2 morgi ogrodu wraz z zabudowaniami gospodarskiemi przy gościńcu rządowym w Mościskach są z wolnej ręki do sprzedania. Bliższą wiadomość udzieli J. Lisikiewicz w Sądowej Wiszni.“

P. K. dowiaduje się, czy panna Fr. Rat. ze Lwowa wyszła za mąż i gdzie pozostaje. Łaskawą odpowiedź przyjmuje. L. 500 post restante Stanisławów.

Wieś w zachodniej Galicji 1 mila od kolei i miasta 130 morgów, dom murowany, przynosząca 1.500 zł. rocznie do sprzedania za 12.000 zł gotówki, poczta Gdów.

Juvenal.

Asystent farmacji poszukuje umieszczenia każdego czasu. A. Medyka.

Odpowiedzialny redaktor: **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca: Walenty Hodak.